

ANNA KUĆ-STANISZEWSKA

DOMEK Z KART

NOWELE

SKŁAD GŁÓWNY
„NASZA KSIĘGARNIA”
WARSZAWA, ŚWIĘOKRZYSKA 18
1930.



DOMEK Z KART

ANNA KUĆ-STANISZEWSKA

DOMEK Z KART

N O W E L E

SKŁAD GŁÓWNY
„NASZA KSIĘGARNIA”
WARSZAWA, ŚWIĘTOKRZYSKA 18
1 9 3 0.

A 34276



1000171936

Dit. 13R

**BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN**

Zaki. Graf. „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.

K 321/62/138

„Nie wyliczaj mi ksiązek, któreś przeczytał. Daj mi uczuć, z jakiego wieku jesteś, wiele wieków przeżyłeś. Złóż mi w tobie samym świadectwo żywe, do jakiej epoki doszedłeś. A ja podług tego naznaczę ci miejsce. Muszę zobaczyć w człowieku przeszłość całą: w jego dzieciństwie wiek złoty, drzewo wiadomości dobrego i złego, wyprawę Argonautów, powołanie Abrahama, zbudowanie Kościoła — w jego młodości przyjście Chrystusa, wieki średnie, odkrycie Ameryki i t. d. Jeśliś jeszcze nie odbył twojej wojny krzyżowej, twojej rewolucji francuskiej, śpiesz się, bo inaczej nie będziesz mógł należeć do pokolenia dzisiejszego”.

Emerson.

INTRODUKCJA.

Oto jestem dzieckiem małym.

Koło mnie młoda zieleń traw wiosennych i tyle barwnych kwiatów młodością życia gra i tętni mocno. Nademną biel wiosennych drzew ożywia ziemię martwą dotąd i czyni jasnym cały świat. A z góry miękko, jasno, ciepło słońce ziemię grzeje, łagodnie pieści ziemi dzieci, kwiaty, młode drzewa.

A ja na koniu moim siedzę — radości, szczęścia, dumy pełen i beztroski w duszy młodej. I gotów jestem naprzód pędzić — w pola, łąki, lasy, świat daleki, bajki życia chwycić w garście — dziecka — małe.

Lecz koń spokojnie w miejscu stoi. Napróżno go zachęcam całym ciałem, napróżno lejce rwę mojego konia. Koń mój nie chce ruszyć z miejsca wcale. Przemawiam doń najczulej, i proszę go ze łzami w oczach młodych, i głowę, szyję konia mego pieszcuję, jak matka mnie czasami pieści. A on — nie rusza z miejsca wcale — ten piękny, własny koń drewniany. I płacz przechodzi w śmiech wesoły, pusty, — aż na zieloną trawę z konia spadam i śmieję się z samego siebie, choć łzy nie wyschły jeszcze w oczach, że dziecko ze mnie takie małe... Że koń drewniany przecie — jedynie huścić może mnie...

A tam wysoko słońce świeci, i śmieje się do dziecka

tak wesoło, tak radośnie, jak tylko wiosną słońce śmiać się może. A wiatr łagodny główkę pieści, po włosach jasnych miękko głaszcze, do ucha dziecka cicho śpiewa, pytając tajemniczo:

— Chcesz, dziecko, żyć?

— Co znaczy — żyć?

— Żyć — to szukać siebie.

— A jakto szukać siebie? Poco wreszcie? Przecie jestem tutaj ja wśród kwiatów wiosny. Ja jestem tu, choć jeszcze taki mały. Lecz kiedyś, już niedługo, — może jutro już — urosnę taki, taki duży. Na koniu dużym jeździć będę wtedy.

Ja kapitanem jestem na okręcie.

W dalekie światy jeżdżę i szukam skarbów wciąż i ciągle więcej, jeszcze więcej. I szukam skarbów tam, gdzie ziemia z niebem się spotyka, gdzie tylko wspiąć się trochę wyżej, — a wprost do nieba można wejść. I szukam tam, gdzie długa, czarna noc bez końca trwa i bez nadziei. I szukam tam, gdzie wiecznie świeci słońce jasne, gdzie dzień bez nocy trwa. I szukam tam, gdzie góry, pola, kwiaty igrają lodem w słońcu świetną grą tęczową, gdzie białym, zimnym śniegiem, mrozem na śmierć życie skute, gdzie z trudem ledwie — ledwie można żyć. I szukam tam, gdzie lato wiecznie trwa, gdzie życie kwitnie bujnie, do góry śmiało wznosi głowę i pnie się wciąż zuchwale wyżej, wyżej w niebo, aż

je przytłumiać musi słońca żar palący, i niszczy życie bujne ponad miarę.

Mój okręt płynie w dnie upalne poprzez morza wielkie białe, lazurowe i czerwone, szukając nowych skarbów jeszcze bez wytchnienia, choć tyle już zebrałem dotąd — korale, perły, czyste złoto, brylantów cud, kamieni drogich — moc, bez liku. Aż w górze świeci słońce krwawo, rumieńcem wstydu, czy radości przesłonięte.

Kołysze fala okręt mój wciąż mocniej tak, jak życie — wysoko w górę, to znów wdół. — Kołysze fala coraz mocniej — aż lazur morza szerniał, aż morze pianą białą pluć zaczyna — na okręt mój i na mnie kapitana.

I słyszę morza ryk, jak w gniewie. I słyszę trzask okrętu. I słyszę wichru śpiew, jak w czarną noc nad głową moją pieśń żałobną śpiewa...

— Czy chcesz ty żyć? Czy chcesz ty w walce ciągłej żyć bez chwili wypoczynku i wytchnienia? Czy chcesz ty żyć i tracić wciąż, codzień, co chwilę, co w ciągu dnia zdobyte? I tracić wciąż, co sercu twemu drogie? Czy chcesz oplutym być przez pianę morza — i przez życie? I szukać nowych skarbów wciąż na miejsce tych, co morze życia ci zatapiać będzie bezustanku?

— Ja chcę żyć, bom pełen sił w dojrzałych latach moich. Zanic mi straty, walka i przeszkody. To tylko życia mocny ton. Pokonać wszystko muszę — mądrością mą i siłą mocnych rąk. Zwycięzę wszystko, co stanie na mej drodze, zdobędę wszystkie skarby świata. A ziemia, morze, nawet niebo — u stóp zwycięskich moich legnąć muszą, u stóp — człowieka. A czasu

jeszcze dość ja mam, by już odchodzić stąd w nieznaną
czarną noc, gdzie życia kres. Ja muszę żyć.

Oto starcem jestem już.

Skończony wiosny, lata czas. Minęły młode chwile.
Nie wrócą już, bo trzeba naprzód iść. Dziecięca radość
życia, wesoly, pusty śmiech — odeszły już na zawsze.
A razem z nią i dusza nieskalana złem i pięknych uczuć
młodych kwiat. Przepadły też i siła pełni lat, zdobywczy
duch, podbojów i zwycięstwa żądza zła. I lata minął
żar, co palić kiedyś mógł miłością swą — do śmierci aż.
Nienawiść, co za grób sięgała kiedyś, zniknęła też bez
śladu. I wszystkich dawnych skarbów blask — tak stra-
sznie zbladł...

I przyszła jesień. Jesienne słońce świeci blado, ze
smutkiem szuka ziemi kwiatów wśród szarych łąk,
wśród pustych pól. I deszcz jesienny pada wciąż przez
długie, długie dni na szarą ziemię—bez zieleni... Wśród
starych drzew jesiennych, co gdzieś korony świetne za-
traciły, jesienny wiatr żałośnie szumi i razem z deszczem
smętnie łka, żałośnie w duszy mojej gra i cicho śpiewa:

— Czy chcesz ty żyć, choć pieśń twa już skończo-
na? Choć starcem jesteś już i brak ci sił? Choć dzie-
ciom, sile młodych ludzi ustąpić musisz w bok, bo ze-
pełną cię z życiowej drogi? Czy chcesz ty żyć i szukać
nowych skarbów wciąż... Choć późno już...

— Ja chcę żyć, bo starcem jestem już. Bo w du-
szy mej panuje dzisiaj spokój i pogoda. Bo w duszy

mej jest panem teraz — duch, co rośnie w górę z dnia na dzień. Bo teraz wartość życia wreszcie znam i innym okiem patrzę ja na świat i ludzi. A czasu jeszcze dość ja mam, by iść na tamten brzeg tajemny, co wieki wieków trwa. Dla siebie i dla ludzi — ja muszę żyć.

ŚPIJ SPOKOJNIE, DZIECINO.

THE SECOND (MILITARY) PART

I znowu w domu gra muzyka. I znowu po kolacji, obficie zakropionej trunkami, tańczą goście tańce modne bez chwili wytchnienia. Tańczą młodzi, dorośli i starsi. A każdy inaczej. Jedne pary na siebie spojrzeć się boją. Inne znowu — nie widzą już siebie. Bo oczy zakryte mgłą. Bo tańczą do zmysłów utraty i z szalem bolesnym, wciśnięci aż w siebie tak blisko, że tworzą jedno jedyne już ciało... Co za rozkoszna zabawa... Jak cudne jest życie... w tym tańcu... Jeszcze raz, jeszcze... O, gdyby tak życie przetańczyć w tym tańcu upojnym...

Siedzi Janek na ganku drewnianym samotnie na ławce wśród pnących powojów i groszków pachnących. I myśli. I słucha muzyki. I patrzy przez okno otwarte do sali tanecznej, gdzie bawią się goście rodziców. Po chwili odwrócił swą głowę młodziutką i jasną nie tylko młodością, a także i duszą dziecięcą. I spojrzął na niebo, na księżyc, co zimne swe blaski srebrzyste na ogród kwiecisty rozsiewa, z uśmiechem oświetla i cnotę i zbrodnię, — bo tyle już widział na ziemi, że dziwić się przestał... Białe księżyc obojętnie spogląda przez okna do domów, gdzie modlą się szczerze, serdecznie, za siebie i innych do Boga... Gdzie zbrodnia bezduszna się spełnia bezmyślnie... Gdzie ludzie bez troski o jutro, — cóż

mówić, — o życie, wesolo się bawią — i tańczą — i tańczą bez końca dokoła, — dokoła...

— I pocóż to wszystko?... I pocóż te ciągłe zabawy?... Czyż źleby nam było w rodzinie bez gości i zabaw?... We czworo?... Nie ciągnie mnie taniec, zabawa, jak innych. Nie zmieni mnie ojciec, ni matka. Nie wciągną w wir zabaw. Mnie miłsze są skrzypce i pieśni, co płyną ze strun — hen — hen — do nieba. Mnie miłsze jest wierszów pisanie o smutkach i moich i ludzi, choć oni tu ze mnie żartują i śmieją się z moich porywów młodzieńczych... I ojciec tak dobry dla wszystkich. I matka tak mądra i piękna cudownie... A wtedy ci bliscy, kochani — tak obcy, dalecy się stają... Mnie miłszą jest nawet tęsknota, co gnębi mi serce, spokoju nie daje, niż tańce, zabawy... i oni w tej chwili...

— I poco to wszystko? Masz rację, — swą głowę podnosząc do chłopca, i oczy, — myśli tak rozłożony przy ławce na ganku również pies mały, Foks biały. — Czyż źleby nam było bez obcych tych ludzi? A tylko was czwórka i ja?

Znów spojrział Janek przez okno do sali tanecznej. Tam ojciec z panami rozmawia i mówi coś do nich tak bardzo serdecznie, aż oczy się śmieją radośnie i jego i gości. Tam matka i piękna i zgrabna, jak bóstwo, prześlicznie ubrana wciąż tańczy i tańczy z przyjacielem i ojca i domu całego, Andrzejem Retyczem.

Patrzy syn na swą matkę z miłością bez miary i oczu oderwać nie może od tego widoku. Tak cudna ta matka. Tak tańczy i bawi się, śmieje rozkosznie, bez pamięci, do szału.

— Wiesz, Janku, — mówiła doń babka raz kiedyś niedawno, gdy wszedł lo pokoju i zastał ją smutną, zgnębioną, — źle może robię, że mówię do ciebie, co myślę. Ale jestem tak strasznie zgnębiona, że muszę do kogoś słów parę powiedzieć. A z ojcem, ni z matką rozmawiać nie mogę tym razem. A tak mnie to boli, co widzę, niestety, nic zmienić nie mogę... Jasiętku kochany! Ja jutro wyjeżdżam do domu, do siebie.

— Dlaczego- — on pyta.

— Bo nie chcę tu patrzeć, nie mogę, jak kłamią tu wszyscy przed sobą... Jak ojciec jest ślepy... Bo Retycz nie ojca, lecz matki — zanadto serdecznym jest — przyjacielem.

Pojechała. Tak dawno u dzieci i wnuków nie była...

— To nie może być prawdą, co babka mówiła... To nie może być prawdą. To żart chyba tylko, lecz jakież okropny... A może to próba dla serca młodego, co matkę swą kocha nad miarę i siły, i wielbi, jak Boga... Czyż może być prawdą, że ojciec jest ślepy, nie widział by tego, co inni... Że śmieją się z ojca ślepoty i z matki... Że matka ma serce dla innych, że nie ma dla ojca, że nie ma go także dla dzieci... To krzywdą dla matki... tej świętej, tej pięknej... I krzywdzi ją babka, kochana przez wszystkich, dla wszystkich tak dobra... Ach, jacy czasami źli ludzie... A przecie najbliżsi...

Patrzy Janek miłośnie w twarz matki tańczącej. I oczy Jankowe wciąż idą za matką. I razem z nią tańczą, wirują, szaleją. I patrzy i patrzy...

— To nieprawda, Ty piękna, Ty dobra, kochana!

I patrzy za matką, nic więcej nie widzi. A oczy otwiera wciąż szerzej i szerzej.

— Dlaczego ta matka ma oczy przykryte, jak mgłą? A usta ściśnięte, jak w bólu... Czy chora... A oba ich ciała, jak w jedno są zlane... Mówiła mu babka...

— Nie! To jest kłamstwo! Ta święta kobieta... Przenigdy!

Zamknęły się oczy Jankowe, by myśli swe zebrać, a sercu nakazać znów spokój, bo bije tak mocno...

I księżyc się schował za chmury. Nie świeci już więcej nad domem i gankiem zarosłym zielenią. Czy wstyd mu, że ludziom przewrotnym przyświeca... Czy żal mu, że w oczach chłopczyny młodego łzę ujrzał, co z bólu, z rozterki wyrosła...

A w sali tanecznej muzyka ucichła, by ciałom zmęczonym na krótką choć chwilę pozwolić wypocząć. Rozchodzą się pary taneczne po różnych pokojach i miejscach. Szukają, gdzie spocząć wygodnie po tańcu, — zaciśnię, spokojnie, we dwoje... Szukają kruszonu zimnego, by nerwy zszarpane pokrzepić... Powietrza świeżego szukają w ogrodzie i ciszy samotnej... i blasków księżyca... na niebie...

— Nie domyśli się wcale. Ja mam posiedzenie. Więc jutro o szóstej ja będę u ciebie.

Słucha Janek na ławce na ganku, i pyta sam siebie: kto mówi... Czy naprawdę to matki jest głos...

Patrzy Janek, szeroko swe oczy otwiera. Czyż to może być prawdą? Czyż to matkę — naprawdę gorąco i mocno i długo tak strasznie — całuje pan Andrzej? A może on śni...

A oni oboje, nie widząc nikogo, — bo w siebie jedynie wpatrzeni, pod rękę, jak dwoje przyjaciół, poszli w ogród pachnący, — spokojni, szczęśliwi, bo razem. By świeżem powietrzem i ciszą wieczorną odetchnąć.

Tylko Foks warknął krótko, — bo dłużej nie warto — pomyślał.

— Boże! Jak duszno, Boże! Brak tchu. To nieprawda. Złudzenie jedynie. To tylko zły sen.

— O, Boże! Tam wdali ja słyszę — śmiech matki rozkoszny...

Wtulił w rękę swą głowę chłopczyna, co w życie zaczyna spoglądać dopiero. Aż zdrętwiał. I siedzi bez ruchu, zatonął w swych myślach i szepce do siebie: Czy prawda? Czy prawda?

A przy nim Foks mały stoi, oparłszy swe łapki o niego. I wciska swą mordkę wilgotną, by rękę rozerwać i spojrzeć mu w oczy tak wiernie, jak pies tylko patrzeć jest w stanie. Nic Janek nie czuje Foks łapką go rusza, by zwrócić na siebie uwagę. Serdecznie językiem po rękach go liże, chcąc ująć mu trochę zgryzoty, zmartwienia w ten sposób. Bo czuje, że stało się coś niedobrego Jankowi. Chce pomóc. Nie może. Więc piszczeć zaczyna. W ten sposób on pana napewno poruszy i zwróci uwagę na siebie, odwróci od tego, co złe. On musi coś pomóc. Napróżno.

Foks warknął raz, drugi — ze złością. Ktoś wchodzi na ganek. A poco? Jankowi nie trzeba przeszkadzać. To matka. Lecz pocóż ten Retycz? — ponownem warknięciem pies mówi.

— Jasieńku! Tu siedzisz? Dlaczego? Chodź z nami do sali — odzywa się matka Jankowa spokojnie. — Chodź z nami. Tak dużo dziś osób. I masz tu kolegów też kilku. Tak tańczą. A ty?

Jakże trudno przemówić... Ktoś ścisnął mu krtani... Co powie... Dać bląhą odpowiedź... Powiedzieć, że wie... W tej głowie i w sercu wir pytań, bezdenna moc bólu się waha, przelewa, aż boli...

— Nie! — myśli wreszcie. — Ja prawdą żyć muszę. I kłamać nie będę.

— Ja jutro o szóstej będę u ciebie. Tak powiedziałaś matko! To prawda? — jęczy przez zęby cichutko.

— Co mówisz, kochanie? Czy śni ci się coś? I mówisz przez sen? A może ty chory? — I patrzy z uśmiechem w twarz syna.

— O, matko! Jeżeli to prawda...

— Co, Janku?

— Już nic. Zostawcie mnie tutaj w spokoju. Idźcie tańczyć oboje. Wy tak pięknie tańczycie...

Wychylił się księżyc zza chmury i oczy przymrużył. Tak patrzy. Taki blady ten chłopak, jak śnieg pośród zimy i mrozu. Nie. Tutaj gorzej, niż w mróz. Tutaj pusto okropnie. Tu kobieta bez serca. Jeszcze gorzej. Bo tu matka bez serca dla dzieci. Czy może tak być? Czy i syn też bez serca? Czy nie zbudził mu nikt? Poszli tańczyć. Niech idą. Tak lepiej dla wszystkich. Cóżby tutaj robili z tem dzieckiem.

A Janek...

Przez ogród i łąki i pola, księżycem srebrzystym zalane, pędzi naoslep bez tchu. Nie widzi przed sobą ni ziemi, ni drzew. A z oczu spływają łza jedna za drugą, a każda następna i większa i cięższa. To serca zranionego śmiertelnie zbyt młodo i ciężko — dziecięcy płacz. A młodym łzom z oczu — okropny i straszny wtóruje jęk, niczem skowyt żaloszny skrzywdzonego psa bezdomnego. Bo to duszy dziecięcej jęk, którą matka rodzona — na krzyż męki, cierpienia nad siły wydała. Dlaczego? Dla kogo... I poco...

Padł w ziemi objęcia i tulił się do niej, łzy gorzkie w nią lał. I rwał ją rękami. I gryzł ją zębami. Bo szalał w nim ból. Bo konał w nim — syn. Konała w nim wiara i miłość najwyższa dla matki.

A ziemia spokojnie — bez słowa, jak tyle już razy, łzy w siebie przyjmuje i chłodzi mu czoło, co szalu jest pełne, i skarg słucha ciężkich cierpliwie młodego chłopczyńy. A z ziemią wraz — niebo wysokie i jasne jęk duszy zranionej przyjmuje i słucha — i Bogu je niesie miłośnie.

Płacz, dziecię młode i biedne. Ze łzami do ziemi ból spłynie z twej duszy. Jęcz, skarż się, chłopczyńo. Bóg skargi serdecznej dziecięcia wysłucha i ulgę przyniesie.

I żali się Janek i ziemi i niebu i Bogu.

— Kto kłamie? Czy babka, co wstydem się karmi synowej i syna ślepotą? Czy matka przed mężem i synem swym kłamie spokojnie, bezdusznie?

— I poco ta babka kochana mnie — syna przed

matki niecnotą i hańbą ostrzega i bólu mi przez to nie skąpi...

— I poco najdroższa ma matka, jedyna — i męża i dzieci niecnotą okrywa i życie nam przez to zabiera...

— Co robić...

— Czy z ojcem mam mówić i oczy otwierać na hańbę... I bólem i męką i jego też karmić... Zabijać mu duszę i serce...

— Czy matce pozwolić iść hańbić się dalej i ojca i siostrę zniesławiać... I milczeć...

— Ja mówić nie mogę... I milczeć — sił nie mam... Gdzież wyjście.

— Ta matka najdroższa, anielska, co bogiem mi była, — kochanką jest jego... A może i innych już była bez liku... Lub będzie dopiero... To hańba i dla niej i dla nas. Być hańby już więcej nie może. Nie pójdziesz Ty jutro na schadzkę, — bo syn nie pozwoli...

— Do Boga ja skargę poniosę... Bóg grzech mi daruje, bo straszna jest męka... Bo straszna i ciężka jest skarga dziecięcia — na matkę...

Noc letnia i jasna już mija, a dziecko wciąż walczy ze sobą i z życiem o siebie i matkę. Cóż dziecko wywalczy? Zła z ziemi nie zmyje ni łzami, ni krwią, ani życiem. Tak mocno, szeroko w nią wrosło. A dziecko, co marzeń i tęsknot do dobra, do nieba na ziemi jest pełne, tu miejsca dla siebie nie znajdzie, — ni w domu rodzinnym, ni choćby rzek dziesięć, gór dziesięć i lasów przejść chciało i mogło... A duszy dziecięciu odmienić nie można... I młoda ta dusza porywów i tęsknot

tak pełna... Cóż dziecko wywalczy? Cóż Janek wybierze...

Świt szary przez okna do mieszkań zagląda i szuka, gdzie resztki tych cieniów po nocy zostały, co ludziom na oczy i dusze spadają, jak sen, — i pędzi je precz, — by człowiek mógł czuć nad sobą i ludźmi...

Śpią wszyscy u Janka w mieszkaniu zmęczeni zabawą wśród nocy. Co z synem się dzieje? Cóż kogo obchodzi... Nic chłopcu nie będzie... Nie zginie. Śpi ojciec spokojnie bez cienia podejrzeń, że w domu coś złego się dzieje, — bo może wygodniej w ten sposób iść w życie — zamykać swe oczy na wszystko... By życie spokojnie płynęło...

Śpi matka spokojnie bez cienia podejrzeń, bez cienia wyrzutu sumienia, bo, może syn widział i słyszał rozmowę na ganku. To nic. Jeszcze młody ten syn i nie zna on życia, bo dziecko tak wielkie jest z niego, marzeniem się karmi jedynie. I kocha swą matkę ogromnie... Więc choćby się czegoś domyślił, — wybaczy i — zmilczy... A rozkosz, uciechę brać trzeba, — jedyną treść życia, gdzie tylko się da. Raz jeden się żyje...

Bawili się w domu, gdzie gości wciąż pełno. I bawią się także u innych. A w domu dla dzieci ich nigdy nie było i niema. Co mogą, co trzeba, to dzieci ich mają. Ubrane porządnie, umyte, nie głodne. Cóż więcej potrzeba...

Czy mówi im w domu ktokolwiek o życiu, o Bogu... Czy matka. Czy ojciec. A poco? Do zabaw i uciech

jest Bóg niepotrzebny... I pocóż myśl dziecka bajkami zapełniać... Są przecie ciekawsze, ładniejsze...

Koledzy ich syna matury już mają i dalej do celu już dążą. A Janka tak bardzo kochali, — że uczyć się nawet nie zmuszał go nikt. Ułoży się jakoś mu życie i jakoś to będzie. A zresztą tak babka go kocha ogromnie, to przecie pomyśli o wnuku. I kiedyś ten chłopak pracować rozpocznie i będzie miał za co.

Tak myślał bezmyślnie ich ojciec, bo matka myślała w ten sposób. Naprawdę myślała? Czy czas miała na to i chęć...

A teraz, gdy śpią wszyscy w domu, ich syn za nich myśli o sobie i o nich, samotny w pokoju.

— Bawili się synem i ojciec i matka, — do siebie się żali i mówi — jak lalką. Ja nic dziś nie umiem. Pracować nie umiem i woli mi brak, by zacząć coś robić. Nareszcie, cóż widzę przed sobą? A teraz kaleka duchowa. Życ nie mam dla kogo i poco.

— Tak ciężko, tak smutnie oskarżać i siebie i tamtych najbliższych mi ludzi. Tak ciężko oskarżać, że serca i myśli gorącej, głębokiej tam brak. Że woli ja nie mam, zdolności łamania się z życiem, z przeszkodą najmniejszą. A cóż mówić — z bólem tak wielkim, jak dzisiaj...

— Życ dalej niemożna, jak dotąd. I serce złamane nad siły. Ja wyjścia żadnego już nie mam... A Bóg dobry przebaczy, daruje mój grzech...

— Ty, matko, nie pójdziesz o szóstej na schadzkę... Nie pójdziesz... Bo syn nie pozwoli... Ja, syn twój jedyny, w obronie honoru i twego i domu całego —

swe życie oddam... A matki, ni siostry, ni ojca — na hańbę nie wydam.

— O, Boże! O, Boże, mój wielki! Jak ciężko umierać! Jam młody. I kocham ich wszystkich wciąż jeszcze. O, Boże! Nie sposób jest żyć...

Bez winy i grzechu żadnego, skazany tak młodo na śmierć — otworzył chłopczyzna szufladę i wyjął rewolwer, co ojciec niedawno mu dał. I sprawdził naboje i zamki — przez łzy, co mu z oczu po twarzy i ustach — spadały, jak grad... Tak bardzo mu żal... Tak straszny jest ból...

I zamknął swe oczy niebieskie, — by śmierci nie widzieć, co blisko już jest... I usta dziecięce zacisnął z sil całych, — by wolę wyteńczyć i rozkaz wypełnić...

Przyłożył rewolwer do skroni. Jak zimna ta stal... Całego przechodzi aż dreszcz... Padł strzał...

Padł strzał i po domu się rozbiegł, by mówić tu wszystkim, że życie dziecięce skończone, choć żyć przecie nie zaczął on jeszcze. Że niema już Janka. Że poszedł ze skargą — na siebie samego, — na swoich najbliższych — do Boga...

Idą. I ojciec i matka i Hela, siostrzyczka Jankowa — za miasto, gdzie głowę strzaskaną i serce gorące i młode, uczciwe i proste a harde młodością — do ziemi umarłych, do ziemi tej świętej, co wszystkich nas kiedyś zmęczonych przez życie — przygarnie, — na wieki już złożą.

A babka nic nie wie, że wnuk jej kochany już z życia odchodzi. I wiedzieć nie będzie, dlaczego tak

prędko... Bo niema jej tutaj. Bo trudzić nie chciano jej serca starego. Bo list jej opowie, co trzeba.

Szept cichy i głośny wśród tłumu przyjaciół i ojca i matki i Janka — od jednych do drugich przechodzi...

— Jak żal mi chłopaka. Tak młodo odchodzi. Za dobrze mu było.

— Zakochał się chłopak. I tutaj przyczyna tej śmierci przedwczesnej. Bo źle ulokował uczucia..

— Nie. Grał w karty podobno i przegrał tak dużo, że oddać już nie mógł i — w łeb sobie strzelił...

— Ależ nie tak. Przehulał pieniądze, co ojciec polecił mu wpłacić do banku. A stąd awantura i — koniec dzisiejszy...

— Zupełnie inaczej. Ja wiem to najlepiej. Flirt matki do grobu go wpędził przedwcześnie. Zadużo już było. Gdy chłopak zobaczył.

— To wszystko nieprawda. Na balu ostatnim w ich domu coś wyszło. Pojedyńkiem amerykańskim skończyło się krótko.

Głos jeden i drugi, dziesiąty wśród tłumu licznego się słyszy. A każdy najlepiej, najjaśniej tłumaczy, dlaczego z tej ziemi i z życia — do Boga tak prędko chłopczyna odchodzi.

Tu owdzie łza spłynie — to z oczu, to z duszy idących w tym smutnym orszaku... Na serce umarłe kojąco upada. A czasem, jak kamień ciężarem obłudy lub pustki bezdennej się kładzie...

A ponad głowami żałobnego tłumu, życzliwych, przyjaciół — on jeden wysoko się wznosi... Najbliższe mu... kwiaty, co bujnie go stroją swą bielą, od ludzi go

dziela dalekich i bliskich zazdrośnie i koją mu ranę bolesną zapachem, czystością...

Wśród kwiatów odchodzi — do Boga na sąd. A tutaj — nie wiedzą, dlaczego tak prędko porzucił on ziemię. I dobrze. Niech nikt tutaj nie wie, że z męki serdecznej i życia młodego, — by matkę odmienić, — ofiarę najwyższą syn składa przed Bogiem.

Tak dobrze mu teraz wśród kwiatów... I bólu zostało tak mało. Śpiew cichy przyleci zdaleka czasami do niego... Śpiew ziemi, czy nieba, — on nie wie... Nie trzeba...

Lecz nagle... Czyż budzić do życia znów będą to serce, co ścichło na wieki... Na trumnę rzucają mu ziemię... i matka i ludzie, co bliżej są niego... A grudka, rzucona przez matkę tak boli... Aż jęknął w swej trumnie zamknięty — okropnie...

I słyszy tak blisko tuż obok śpiew smutny: Śpij spokojnie... I jeszcze płacz matki... Znów jęknął żałośnie, zakwilił, jak ptak rozbudziny wśród snu głębokiego.

Rozbudził się Janek na chwilę ze snu śmiertelnego... Powrócił z swej drogi, choć był już daleko od ziemi. I mówi do matki cichutko, bo z grobu:

— Nie pójdziesz ty, matko, na schadzkę... Nie pójdziesz ty więcej — na hańbę i swoją i swoich najbliższych... Ni jutro... Pojutrze i nigdy... Bo padła z własnej twojej krwi zrodzona — syna twego ciężka łza — na serce twoje w piersi... Bo zagrział śmierci grom — przez syna śmierć — nad duszą twą, któremu życie kiedyś dałaś... Cóż więcej jeszcze mogę zrobić... Do Boga idę z prośbą i — na sąd — do Ojca...

— Janku! Chłopczyño nieszczęsny! — cicho doń szepce biała brzoza płacząca, cmentarna, gałęzie i liście zielone nad świeżą mogiłą pochyła, jakby tuląc do siebie chłopczynę, gdy wszystko ucichło na ziemi cmentarnej. Czy nie próżna twa męka? Daremna ofiara tak wielka... Już oczy moje napatrzyły się tyle na życie i ludzi — na ziemi tej świętej. I tyle nad wami już łez wyplakały. I dzisiaj ja płacę nad tobą, chłopczyño, — nad twoją ofiarą i męką. Czy nie wiesz nic o tem, że bezsilne są słowa? Czy nie wiesz nic o tem, że bezsilnym płacz bywa? Nawet śmierć jest bezsilna czasami i nic nie poruszy w człowieku, nie zmieni mu duszy. Bo taką już ma.

— Nie zmienisz ty trawy przyziemnej — w królewski dąb nigdy. Nie zmienisz ty wrony, co śmietnik ogląda, ni w orła, ni w inny twór boży. Choćbyś ty łzami podlewał tę trawę. Choćbyś ty wronę krwią swoją, sercem gorącym wciąż karmił i tuczył bez przerwy. Choćbyś swe życie w ofierze oddawał. Nic zmienić nie można. Trawa wciąż — trawą zostanie, wyżej wyrośnie jedynie, niż zwykła. A wrona — piór więcej nabędzie i tłuszczu. A w orła nie zmieni się nigdy. I z ludźmi tak samo. Z nich — jeden jest trawą zieloną lub ostem. A drugi ma wrony, a trzeci — znów orła, anioła ma duszę. Tak musi już być.

— Ja tyle tu ofiar widziałam daremnych. I tyle tu łez wyplakałam napróżno. I teraz znów płacę nad tobą, nad twoją ofiarą bezpłodną...

Aż trzęsie się brzoza nad Janka mogiłą. Szeleści listkami, na ziemię je zrzuca potrochu jak łzy. Gałęzie

się chwieją i głowa się kiwa żałośnie nad chłopca niedołą. — Ej, chłopcze! Ej, Janku! Jaż żal. Jak żal... mi jest ciebie...

— Nie słuchaj tej płaczki, co płakać jedynie nad ziemią jest w stanie i w ziemię wciąż patrzy, a w niebo wznieść oczu nie umie — tuż obok krzak róży pachnącej zabiera znów głos. — Spokojnie śpij w ziemi święconej, dziecino. Bo żadna ofiara — ni z łez gorzkich serdecznych, ni z bólu i męki, ni z życia człowieka — nie idzie na marne. Nie idzie na marne kropelka deszczowa, co z nieba opada na ziemię. A łza ludzka z serca, lub życie człowieka, ofiarnie złożone, — na marneby szło... Uczciwość przynajmniej i pełnia w tej duszy, czy wrony, czy orła, czy anioła zbudzi się ze snu...

— Zło w ludziach i w świecie maleje, gdy małych i wielkich swych ofiar, ni mąk swych dla ludzi i ziemi i z myślą o ludziach, o Bogu nie skąpią w swem życiu.

— Bóg Wielki! Gdy jednej ofiary dla duszy jest mało, to mocen jest gromy, pioruny bez przerwy prowadzać na jedno wciąż serce — aż całkiem je zmieni. Bóg mocen jest światy zapalać i gasić. Cóż znaczy dla Boga, — zbrodniarza w świętego przepalić piorunem niebieskim... Bóg czeka cierpliwie, ostrzega czasami, jak dzieci maleńkie, kochane... Bóg skałę rozkruszy na taką, jak trzeba, przez ogień szlachetny przepali, śmierć spuści, gdy trzeba, lub mękę jedynie... Lecz zło musi zginąć w człowieku, — na świecie. A dobro nadejdzie. Nie dzisiaj i zaraz. Nie jutro. A wieki upłyną, nim owoc dojrzeje, nim wszystko się spełni...

— Spokojnie śpij, dziecko kochane. Ofiara twej

męki i życia dla dobra i ludzi — nie pójdzie na marne. Nie zaraz się wszystko dokona. Nie zaraz zasiane — wyrosnie, dojrzeje. Czas długi upłynie, nim matka zło zginie, — nim świata zło zginie...

A w domu, w kąci pod łóżkiem, Foks leży biedny. Nie rusza się wcale, nie warczy, nie szczeka, pomimo, że w domu ruch zwykły. Jedzenia nie tyka, choć stoi tuż obok. Czasami jedynie napije się wody troszeczkę, by ogień ugasić, co pali go wewnątrz tak mocno. I znowu powraca do kąta, by tęsknić do Janka.

— Co z tobą zrobili? — zapiszczy czasami żałośnie. — Gdzie jesteś. Ten huk w domu straszny. A potem — okropny twój wygląd... A potem wynieśli cię z domu... I ludzi tak dużo tu było. Zrozumieć nie mogę, co z tobą się stało. Wiem jedno, że niema tu ciebie już długo, tak długo... Że złego coś stać się musiało... Mnie serce nie myli. Czy wrócisz ty kiedy? Z kim ja tu zostanę? Bo Hela — to dziecko. A oni... Już lepiej nie myśleć... Oj, smutno... Oj, boli, — zapiszczy, zaskomle żałośnie od czasu do czasu Foks mały i znowu na dłużej zapadnie psie serce w zdrętwienie.

W tym samym pokoju przy biurku zmarłego chłopczyzny ojciec zgnębiony rozmyśla o synu. Brwi poszły wysoko na czoło i oczy zapadły. Tak prędko. Tak nagle. I niema już syna... Dlaczego? Co stać się mu mogło?

Najmniejszą karteczkę z szuflady wyciąga i czyta. Bo może okropną zagadkę rozwiąże... A może mu zajrzy do duszy i serca...

I czyta z wyrazem skupionym i sercem bijącym tak

mocno. Łza oko przestania, ból chwyta za gardło. I szepce do siebie, do syna:

— O, Janku, mój złoty! Tak obcym ty w domu swym byłeś. Choć matkę i ojca ty miałeś, — sierocy żal mówi przez ciebie. I piszesz, że ojca, ni matki nie miałeś, ni domu własnego, ni ciepła serc naszych w rodzinie... A nigdy ty nic nie mówiłeś, że żarła cię straszna tęsknota. Do czego? I za czem... Na ziemi inaczej nie będzie, niż jest. Trzeba brać z życia, co daje.

Znów wyjął z szuflady kart parę i czyta:

„I czemuż mi tak beznadziejnie samotnie w pustelni domu mojego? I czemuż mi postokroć samotniej wśród ludzi tłumu, gdzie myśli rwą się i płaczą, ciężarem bez miary na pierś słabą spadają, przez innych myśli — fale targane, szarpane.

„I idę przez życie rok jeden za drugim do kresu, do celu człowieka się zbliżam wśród rosnącej z dniem każdym samotni, — bez bliskich mi dusz, bez bliskich mi serc, niczem głąz martwy w pustyni bezludnej przez piaski gorące, czerwone i wichry do żaru rozgrzane bezlitośnie smagany, — niczem granitu skała wśród morza — pustyni, bez kresu i echa, daleko od lądu — przystani, wśród fal rozszalałych, bez przerwy, spoczynku bijących, a rwących — fal oceanu ludzkiego...

„I czemuż mi tak beznadziejnie samotnie do bólu, do łez gorzkich, gorących, co oko pokrywa wilgocią świecąca wśród nocy i dnia... Choć grzeją, choć koją chwilami spojrzenia przyjazne, samotny mój duch...

Choć mówią chwilami — nie usta, lecz oczy, choć ślą swe uczucia, swe myśli przez serce w mą stronę...

„Czy w walce życiowej tak długiej, bo ciężkiej nad miarę ze sobą, z innymi już stracił nadzieję na dalej, na jutro — mój duch...

„Czy w walce nierównej ze sobą, z innymi spozęźniał mój duch i wznosił się nad ziemię i ponad ludzi tłum, na inny nastroił się ton, na inny — wysoki, czy niski — nastroił się dźwięk... I stąd ta rozterka duchowa, męcząca, stąd myśli, uczuciom harmonji z innymi mi brak...

„Boże Wielki! Czegoż mi jeszcze potrzeba, by stłumić szarpiącą tęsknotę, beznadziejną samotnię wypełnić, ukoić bijący skrzydłami bezsilnie a trwożnie drgający mój duch...

„By iść można w świat daleki, dalej wciąż i wzwyż. Wciąż przed siebie... Ziemię całą przejść, — księżyc, słońce, mgławic świat...

„I bym słuchać mógł ja — kojącego grania drzew samotnych w polu i cichego szumu łąnów złotych zbóż... Borów ciemnych zawodzenia, ptaków leśnych śpiewu, świerszczy polnych grania w skwarne lato... I potoków górskich dzwonięcia i fal morskich gwarzenia bez początku, bez końca...

„I bym słuchać mógł ja — tam wysoko na niebie, jak słońce i gwiazdy i mgławic roje hymn przedwieczny na strunach srebrzystych, niebieskich grają...

„I bym słuchać mógł ja, jak wszystko, co żywe i martwe na ziemi, tu i tam na niebie niedościgłe, — jak

Dusza wszechświata na cześć Najwyższej Harmonji bez końca wciąż drga i śpiewa i gra...

„Boże Wielki! Czego mi więcej potrzeba?

„Iść w dzień cichy, pogodny po słońca jasnego blaskach, po ziemi całej rozedrganych... Bym iść mógł ja — po gwiazd nieuchwytnych dalekich, — księżycy promieniach niebieskich wciąż wyżej i wyżej — hen — aż ponad ziemię daleko, wysoko, — aż ponad mgławic świat.

„Bym wraz ze wszystkimi słońcami — gwiazdami dla ziemi przędzę promienną mógł tkać...

„Bym wraz ze wszystkimi słońcami — gwiazdami tę przędzę tajemną, niebieską — na cześć — Najwyższego Światła — we wszystkie strony wszechświata mógł słać...

„Boże Wielki! Czegoż mi więcej potrzeba?

„Bym nie sam jeden hymnu prawiecznego słuchać i w siebie mógł brać...

„Bym nie sam jeden tę przędzę promienną wraz z milionami i słońc i gwiazd mógł tkać...

„Bym nie sam jeden, samotny — w wędrówkę daleką mógł iść — aż tam ku prazródłu Najwyższej Harmonji i Światła i Ducha...

„By nie sam jeden wznosił się w górę — wyżej i wyżej — do Najwyższego Świata Ducha — mój biedny, mały duch...

„Lecz, by tych duchów, co z ziemi w górę pędzić

chęcią, do nieskończonych granic świata, — tam, gdzie Najwyższy świata Duch, pędziła nieskończona duchów moc, bez liku, podając tu i tam i ciemnym światła blask. I głuchym słowa dźwięk. I słabym siłę, moc.

A serce tym, co go nie mają jeszcze w sobie, co żyją, niczem martwy głaz, co śnią w letargu śnie, — choć czują czasem cichy, niczem przez sen lęk — przed wyższą tajemnicą, co ponad ziemią, ponad życiem wiecznie trwa...

„Niechaj te duchy jasne i promienne, co ponad ziemię w niebo wznoszą oczy swe, wciąż mówią do swych braci tu — na ziemi.

„Że nieśmiertelnym jest nasz duch...

„Że tu i tam, gdzie życie nieskończone, dla wszystkich bratnim duchem trzeba być...

„Że tak nakazał nam Najwyższy Duch...

„Że Ducha tego trzeba w sercu ciągle mieć...

„Bo ponad skałę — zwierzę wyżej stoi. A ponad zwierzę — duch człowieka. A ponad ziemią, ludźmi, światem — Wielki Duch.

„Boże Wielki! To próżny marzeń trud i próżny sen marzenia. Nie można zerwać więzów z ziemią, wykreślić całkiem pamięć o niej... Po ziemi chodzić trzeba...

„I próżny marzeń trud. I próżny sen marzenia. Nie można porwać wszystkich strun, co smętnie w duszy ziemskiej grają. Nie można myślać, sercem, duchem tylko żyć. Po ziemi chodzić trzeba...

„Dopóki nie podniesie Wielki Duch naszego ducha w górę, dopóki mu nie doda sił do wznoszenia w niebo, — po ziemi chodzić trzeba...

„A zanim przyjdzieznaczony czas, — samotny, tęskny, smutku ziemi pełen wzrok w dalekie niebo można ślać jedynie... I skargę ślać do Boga — na siebie, ludzi, ziemię... I że po ziemi chodzić trzeba... Można tylko skargę ziemi ślać — do nieba...”

Jan Nielaski.

Zamyślił się ojciec głęboko nad duszą Jankową. Zrozumieć nie może tej pracy i myśli i serca młodego, choć tyle lat patrzył na syna swojego.

— Więc jakże — rozkłada bezradnie swe ręce i mówi do siebie, do syna: — Sam mówi przecie „po ziemi chodzić trzeba”, i sam stąd ucieka. Nie może się zgodzić, nałamać do tego, co jest... To trudno. Tu ziemia, nie niebo. Tu człowiek, nie święty. To trudno. Inaczej nie może tu być. A szkoda chłopaka. Sam nie wziął nic z życia, bo jeszcze nie zdążył. I z siebie nic nie dał nikomu. A przecie, jak widzę, mógł wiele. Bogaty był duch.

— To prawda — mówi on dalej do siebie — może z nim bliżej żyć trzeba było, pomówić coraz... Lecz czasu nie było... Coś zawsze przeszkodzić musiało... Fatalne! Okropne! Nic zmienić — niestety, nie można już teraz...

— Została nam teraz jedyna Helenka. Tak piękna, jak matka. A ze mnie ma oczy niebieskie jedynie.

A może wyrośnie i dobra jak matka... Do szkoły nie-
długo już pójdzie... Już przedtem Bóg dwoje nam za-
brał... A teraz z tym Jankiem nieszczęście... Może ta
choć zostanie jedyna...

— Kaziu, — odzywa się żona do niego, bo we-
szła przed chwilą.

— Widzisz, Janeczko, ja czytam, co Janek tu pi-
sał. Oj, jakże mi żal go serdecznie, że zginął przed-
wcześnie.

— Kochanie! Rozstrajasz swe nerwy jedynie.
I cóż mógł napisać ten chłopak? Taki zawsze był dziwny.
I pisał dziwacznie napewno. Przynajmniej jak kie-
dyś nam czytał, nie mogłam zrozumieć, co chciał on po-
wiedzieć. Myślałam, że przestał już pisać, bo nic nam
nie czytał tak dawno. Bo zresztą, czy może to przydać
się naco? Ale nie siedź tu sam. Daj spokój czytaniu.
Chodź do nas. Poczciwy pan Andrzej jest znowu. Tak
wdzięczna mu jestem, bo stara się teraz być z nami jak
można najwięcej. Bo boję się teraz być sama w pokoju
w dzień biały nawet — na chwilę. Takam nerwowa
się stała. Tak Janka kochałam serdecznie...

— Janeczko! Nie mówiłem ci jeszcze, że miałem
list dzisiaj od matki. W tym liście o wszystkich się pyta
a głównie o Janka. Bo śnił jej się Janek mizerny i błydy
okropnie, oberwany, zbłocony. Przyszedł do niej, przy
kolanach jej ukląkł i płacząc serdecznie zaczął prosić:
„Babuniu. Twego wnuka okropnie skrzywdzono. Choć
ty jedna bądź dobra dla Janka. Dziś przyszedłem do
ciebie... Może jeszcze tu przyjdę czasami... Choć ty

jedna bądź dobra dla Janka''. I zniknął. Matka prosi, by jej zaraz odpisać. O, jak ciężki ten list będzie dla mnie...

— Mój drogi. Babka stara. Że w sny wierzyć będzie, nie dziwię się wcale. Ale ty...

— Ale widzisz, Janeczko, tak się dziwnie złożyło... Zapytuje mnie matka w tym liście jeszcze o jedno: czy pieniądze, o które pisałaś do matki, są nam prędko potrzebne? Nie wspomniałaś mi o tem, że masz zamiar napisać... Przecież niema potrzeby...

— Kochanie! Nie mówiłam ci o tem, bo nie chciałam cię martwić. Miałam zamiar powiedzieć, jak odpowiedź nadejdzie. Chciałam sprawić na lato dla Janka i Heli ubranie... Niespodziankę przyjemną miałbyś wtedy...

— Czy ci tego zamało, Janeczko, co dostajesz odemnie? Już mówiłem ci nieraz, że nie lubię prosić matki o pomoc pieniężną... Zresztą, nie widzę zupełnie potrzeby...

— Już się gniewasz. A ja chciałam tylko dobrze dla wszystkich...

— Nie. Nie gniewam się wcale, bo mi trudno się gniewać na ciebie. Bardzo dobrze wiesz o tem.

— No to dobrze. Bo się martwić zaczęłam, że zrobiłam ci przykrość niechcący. A ja chciałabym wszystkim wam dobrze... Jabym dla was krwi serdecznej z mego serca ułała, gdyby zaszła potrzeba... Ala po-

wiedz mi jeszcze, mój drogi, — bo z tem przyszedłam do ciebie, co mam zrobić z dzisiejszym koncertem?

— Z jakim?

— Zapomniałeś? Na ochronkę dziś koncert. I ja miałam tam śpiewać. Nie mam siły i chęci. Ale niema mnie komu zastąpić. Co mam robić? Jak myślisz?

— Rób, jak sama uważasz. Ja wolałbym nie chodzić. Od tej straty bolesnej minęło dopiero dni parę...

— Ja wolałabym także nie chodzić. Tylko — dzisiaj jest koncert na sieroty, na dzieci, co matek nie mają... Może trzaba się zmusić, przełamać... Ale sama nie pójdę... Ani ciebie samego tu w domu zostawić nie mogę...

— Dobrze. Jeśli chcesz, to pójdziemy. Ty najlepiej wiesz sama, jak należy postąpić, bo o wszystkich pamiętasz... Ale wiesz, że Helenka jest jakaś niezdrowa? Po obiedzie ją sam położyłem do łóżka. I gorączkę ma chyba...

— To i dobrze, że leży. Tylko ty się nie przejmuj, mój drogi, zanadto, bo ci może zaszkodzić. A gorączka jej przejdzie i nie będzie jej nic. Ona często zapada. W domu będzie służąca, to jej poda, co trzeba, dopilnuje... My — musimy się śpieszyć, bo potrzeba się przebrać na koncert.

Poszli razem we dwoje... Nie. Z nimi poszedł pan Andrzej, bo ich nie mógł zostawić samotnych po stracie zbyt świeżej, jak przyjaciel prawdziwy najlepszy,

który dolę, niedolę razem dzieli, przeżywa — jak tylko go stać...

Smutnie śpiewa dziś matka na te dzieci sieroce, bo dopiero co syna straciła, bo po stracie tej serce jej krwawi wciąż mocno boleśnie... W żonę — mąż patrzy jak w bóstwo i modli się do niej, bo wielbi i ceni jej wielką ofiarę dla obcych kobiecie tej dzieci. O własnej swej stracie zapomniał — na chwilę...

Gdy skończył się koncert, pan Andrzej zaprosił oboje do siebie. Bo w domu ich pusto i smutnie obecnie... Tak dobrze im było we troje u tego zacnego człowieka.

Przyjazna, serdeczna rozmowa ich serca zbolełe koła, bo rany krwawiące zbyt żywo — obecność żywego, bliskiego współmyśla, współczuciem — człowieka — jedynie uzdrowić jest w stanie...

A w domu Helenka samotnie w łóżeczku leżała. W gorączce coś mówi i kogoś wciąż woła do siebie... Lecz nikt jej nie słyszy, bo niema nikogo, bo pusto w tym domu...

Foks tylko wyłazł ze swojej samotni i przyszedł do łóżka dziewczynki. Łapami się oparł o łóżko troskliwie, popatrzył przyjaźnie, polizał jej ręce, posłuchał jej płaczu i żalów w gorączce... Cóż więcej pies może dla dziecka... A potem położył się blisko przy samem łóżeczku i czuwał nad siostrą Jankową.

Daleko, daleko, — gdzie brzoza płacząca i róża pachnąca, jęk cichy słyhać czasami...

— A widzisz? Mówiłam — odzywa się brzoza do róży i Janka.

— Już przestań, chłopczyno — krzak róży znów mówi. — Nie trzeba już płakać. Zaczekaj cierpliwie. Bóg czeka tak długo... wiekami całymi... Ty śpij już spokojnie, dziecino maleńka. Skończony twój trud.

Przeleje się jeszcze morze łez girzkich ludzkich. Złamie się jeszcze wiele serc żywych w piersiach. Pójdzie w grób wczesny straszna moc żyć na ofiarę miłosną, — zanim zwycięży — Duch Dobry — Zło, zanim obejmie rząd wszystkich dusz, które błądzą po świecie w uśpieniu...

Kochana Babuniu!

Tak się strasznie ucieszyłam z tego listu Kochanej Babuni, że aż skakałam z radości po pokoju. Aż Mamusia zaczęła gniewać się na mnie i kazała mi uspokoić się i cicho siedzieć w pokoju albo wyjść do ogródka. No to wyszłam. Bo Mamusia tak często się gniewa na mnie a ja naprawdę nie wiem, co ja złego robię. A w ogródku to trzy razy po kolei list Babuni przeczytałam i głośno mówiłam do siebie: Za dwa tygodnie już pojedę do Babuni na wakacje na całe lato. To będzie okropna uciecha. Bo promocję do piątej klasy dostanę napewno. A Babunia będzie się ze mną cieszyła, że ja już jestem taka duża panna. bo już uczennica piątej klasy. Prawda, Babuniu kochana? Nawet

pan Andrzej kiedyś wziął mnie na kolana, mocno przycisnął i powiedział: „Hela już duża panienska. Niedługo trzeba ją będzie wydać za mąż”. A Mamusia na to powiedziała ze złością: „Może ty się z nią ożenisz?” A pan Andrzej jej na to: „Czemu nie? Żeby mnie tylko chciała”. Babuniu kochana! Przecie ja nigdy za mąż nie wyjdę. I nie wiem, czemu Mamusia się gniewa. A pana Andrzeja nie lubię. Wolę wszystkich innych Panów, co do nas przychodzą na karty, jak ich Pan Andrzej zaprosi. A jeszcze więcej nie lubię go, jak mi jedna koleżanka powiedziała, to było może z miesiąc temu i jeszcze Babuni o tem nie pisałam, — że moja Mamusia to jest kochanką Pana Andrzeja, że przez Mamusię, to i mnie nie powinno się przyjmować w porządnym domu. Tak się wtenczas splakałam, że aż mi nos poczerwieniał. Czy to prawda, Babuniu? Jak przyjadę, to mi musi Babunia to wszystko wytłumaczyć. Bo cóż ja jestem winna? Przecie ja chyba nic złego nikomu nie robię? Nawet wszystkim koleżankom mniej zdolnym pomagam, jak która czego nie może zrozumieć. Bo tak mi kazał robić zawsze tatuś jak żył. To ja i teraz też tak samo robię. Oj, strasznie dużo będę musiała Babuni opowiedzieć o sobie. Tak często nie wiem, co ja mam robić. A Mamusi się pytać nie mogę, bo Mamusia tak często się gniewa, jak się o co zapytam i tylko powie: „Głupia jesteś. Jak dorośniesz, to wtenczas zrozumiesz i wtenczas z tobą będę mogła rozmawiać”. Tylko często śni mi się Tatuś. Zawsze śni mi się wtenczas, jak mi kto jaką przykrość zrobi albo coś

nieprzyjemnego powie. A na grobie Tatusia i Janka to kwitną już kwiaty takie ładne. Jak mi jest smutno, to idę tam do nich. I tam się narozmawiam, bo w domu tak trudno. Babuniu Kochana! To za dwa tygodnie ja już będę u Babuni. Oj, jakbym ja chciała już zostać nazawsze u Babuni. Tylko tam szkoły niema i nie mogłabym jej skończyć. A ja wiem, że Babuni ja jestem potrzebniejsza, niż tutaj. A może to grzech tak mówić. Kiedy tak muszę czasem myśleć. A najwięcej to wtenczas, jak czasem gdzie jestem u koleżanki a jej mamusia ją pocałuje, popieści. To wtenczas tak mi smutno się robi. Ale zaraz sobie myślę o Babuni. I dlatego tak się cieszę, bo już za dwa tygodnie będę u Babuni jak moje koleżanki u swojej mamusi.

Całuję milion razy Kochaną Babunię

Kochająca wnuczka

Helena Niełaska.

— Boże! Boże! Ileto dziecko już cierpi, choć jeszcze jest samo bez winy przecie, — szepce do siebie Babcia Niełaska, wkładając zpowrotem list przeczytany w kopertę. — Czy mam prawo zostawiać ją dłużej przy matce, gdy sama już myśleć zaczyna, by wcale nie wracać do domu? Czy mam prawo pozwolić jej przejąć się duchem jej matki i domu? Nie. Ona po ojcu ma duszę. Nic złego nie wchłonie. Może zostać tam spokojnie, dopóki sama zechce. Ale wtedy... Już teraz na

drogę krzyżową wstępuje. Już teraz bez winy swej własnej za matkę swą cierpieć zaczyna. Już dziś kamieniami rzucają w to dziecko — inne dzieci w jej wieku. A będzie wciąż gorzej, bo musi być gorzej, bo kto winę matki daruje — jej córce? Choćby sama kryształem bez skazy do śmierci została? Biedne dziecko sieroce! Nie, jeszcze gorzej. Bo matka ma prawo to dziecko zatrzymać przy sobie tak długo, jak zechce. Wobec prawa — ja jestem bezsilna.

— Już Pani płacze — odzywa się do niej Stasiowa po wejściu z ogródka na ganek. — Czy znowu niedobry list przyszedł? Czy znowu chce tamta pieniędzy?

— Nie. To jest list od Helenki. Przyjedzie tu do nas niedługo na całe wakacje.

— No to czegoż ma Pani płakać?

— Bo ciężko tam dziecku. Coraz gorzej, jak widzę. Więc żal mi jej bardzo. Ją jedną na świecie mam tylko.

— E, co dużo gadać? Zabrać dziewczynkę do siebie i — basta. Przecież wnuczka. Któż większe ma prawo do wnuczki, jak nie babka?

— A matka, to nic?

— Matka? Jak jaka.

— Nie, moja Stasiowo. Prawo mówi inaczej. A życie — nie jest tak proste, jak my tu myślimy we dwie.

— A ja mówię — zabrać dziewczynę i już. Matka nie da? O... Próbować... Szkoda dziecka.

— Może i dobrze mówicie — próbować... Zobaczmy jak Hela przyjedzie. Pomyślimy...

— Co tu myśleć? Niema o czem. Urodziła swoją córkę. No to co? Tego mało. Czegóż więcej potrzeba: Trzeba serce mieć matki dla dziecka. Bo inaczej — kara Boska wisi nad taką.

CO DALEJ?

— „Czcigodna Pani”.

— Do kogo tak mówią? Wszyscy siedzą przy stole w pokoju nauczycielskim, gdzie toczą się obrady nad promowaniem uczniów do następnej klasy. Jeden Dyrektor wstał, obrócił się do mnie, pochylony głęboko i milczy. Za nim i wszyscy z miejsc swoich powstali i zwrócili się też w moją stronę. Stanęłam i ja. Lecz nikt nic nie mówi. Milczenie trwa długie i ciężkie. Dlaczego? Co to ma znaczyć? — Czy do mnie ma mówić Dyrektor? — Dlaczegoż nie mówi? — Cóż chce mi powiedzieć? On twarz szczupłą schylił na piersi, by łyzy, co mu w oczach zaszkliły, zasłonić, by mogły się ukryć i uciec, tocząc się w dół niewidocznie. On głosu wydobyć nie może... I czemuż jest taki wzruszony...

Ktoś podszedł do okna, nalał wody z karawki do szklanki i podał ją milcząc Dyrektorowi. Ten napił się trochę, odetchnął głęboko i znowu powtarza:

— „Czcigodna Pani”.

Lecz znów nowa fala wzruszenia przyplywa i głos mu odbiera i tłumi. I znów nowa walka ze sobą w milczeniu. I znów bierze szklankę i pije... By nerwy rozedrgane uciszyć. By stłumić tłoczące się łyzy. Nabiera raz jeszcze powietrza w swą klatkę piersiową zapadłą i — wreszcie zaczyna, — przerywając raz po raz:

— „Dzisiaj — ma miejsce ostatnie posiedzenie— Rady pedagogicznej w bieżącym roku szkolnym. Dzisiaj — po raz ostatni — bierze w niej udział — wieloletnia nauczycielka naszego gimnazjum — Pani Janina Niełaska. Bo po 45 latach ciężkiej a wytrwałej pracy nauczycielskiej — kiedyś zaraz po skończeniu przez Nią szkoły średniej — w szkołach prywatnych polskich, czujnie a podejrzliwie strzeżonych przez władze rosyjskie, — aż wreszcie w szkole państwowej polskiej już niepodległej — dziś kończy swą pracę nauczycielską i wychodzi ostatecznie do emerytury. Właściwie Pani Niełaska jest już od pół roku emerytką. Lecz pracowała do końca roku szkolnego ofiarnie i bezinteresownie z własnej woli, ponieważ nie było Jej komu zastąpić a nie chciała opuszczać w środku roku zajmowanej placówki swojej i zostawiać naszych uczniów bez nauki.

„Dlatego też poczuwam się do obowiązku wyrazić Pani Niełaskiej moje serdeczne podziękowanie za ten Jej obywatelski czyn. Dziękuję Pani również i za całą tyloletnią pracę Jej w szkole polskiej prywatnej a potem państwowej, — spełnianą z najwyższą obowiązkowością i sumiennością. Bo dzień opuszczony od zajęć w szkole przez Panią należał do wyjątkowych i tylko poważniejsza niemoc i choroba mogła zatrzymać Ją w domu. To też wszyscy cenili należycie i zawsze tę pracę Pani, wykonywaną z całym zaparciem się siebie i całkowitem oddaniem się szkole. To też wszyscy odnosili się zawsze i odnosić się będą i na przyszłość do Jej osoby z najwyższym szacunkiem i głębokiem uzna-

niem. Bo praca Jej może nam wszystkim — nauczycielom i uczniom — i innym z poza szkoły też — służyć za wzór i za przykład.

— „Dziękując Pani z głębi serca za tę pracę dla szkoły i młodzieży, żegnam Ją dzisiaj serdecznie. I życzę Pani jaknajdłuższego zdrowia i życia. Bo choć odchodzi Pani stąd ze szkoły, by wypocząć po tylu latach trudów — zostawia Pani tutaj wśród nas i młodzieży najtrwalszy ślad po sobie, jaki po człowieku pozostać kiedykolwiek może — ślad duszy i serca ofiarnego. I nieść je Pani będzie dalej wszędzie, gdzie tylko zdarzy się sposobność i zajdzie potrzeba”.

— To do mnie tak mówi Dyrektor. I tyle osób tego słucha. A wszyscy z takim wyrazem powagi, zamyslenia na twarzy. I poco to wszystko.

— Żegnają mnie milcząc, a oczy spuszczone do ziemi u wszystkich. Bo odchodzę już stąd — z tych szeregów — na zawsze. Lecz dokąd ja teraz mam iść? Jakiej nowej pracy sięjąć? Jaki życiu mam nadać nowy cel... Czy już takam niedołączna i stara, że już tutaj pracować nie mogę, nie umiem... I nigdzie... I dlatego pewno nie chcą nasze władze, bym tu jeszcze dłużej zostać miała...

A przez lat 45 — każdego dnia — do szkoły szłam na lekcje. Do młodzieży szłam — dzień w dzień — przez tyle moich lat. I żyłam się z młodzieżą szkolną tak serdecznie, jak z dziećmi swemi rodzonemi. I choć rodziny bliższej nie mam, ja tutaj w szkole miałam ją przez tyle, tyle lat... A teraz... Mam pozostać sama... I darmo będę brać pieniądze z skarbu, nie dając wza-

mian nic ze siebie. Czy wolno tak. Czy mam się jakiej nowej pracyjąć — na stare lata moje.

Boże! Boże! Jak ciężko mi. Jak w głowie mocno bije, huczy krew. Jak w piersiach serce bije głośno, z lękiem woła, że już skończona długa karta życia, że nowa teraz może przyjść — nieznana, aż wreszcie przyjdzie — i ostatnia. Do oczu mi spłynęły wielkie łzy i świat zakryły sobą. Nie widzę z was nikogo, choć jestem jeszcze razem z wami tu...

Odchodzę dzisiaj stąd, — bom tu już na nic, już nikomu niepotrzebna. A komuż tam potrzebna będę. Mój cały świat był tutaj — w szkole — wśród młodzieży — od lat najmłodszych moich — przez życie całe — do dzisiaj aż.

Podają mi wiązankę róż... Ach, pocóż są te róże... Na jaką drogę są te kwiaty młode, piękne i pachnące... Nie na dalszą pracę tutaj. To róże są na krótkie „żegnaj nam na zawsze”...

Gdzież pójdę ja z różami temi... Do czterech pustych ścian w mieszkaniu mojem. I patrzeć będą w długie szare dni, jak beznadziejnie więdnąć będą kwiaty, opadać listek za listeczkim, — aż wreszcie mi zostanie wiązanka sucha, stara tak, jak ja... I patrzeć będą stare oczy w stary, suchy kwiat... Boże! Boże I pocóż mi te piękne kwiaty młode... I pocóż mi je dano w pożegnaniu... By mi mówiły wciąż: „Tyś stara już, do pracy żadnej już niezdolna. Do szkoły ty nie wrócisz nigdy. A dalej co... Co robić będziesz z sobą przez resztę życia twego dni...”

Tyle myśli kotłuje się, kłębi w mej głowie... A w sercu tak pełno jest męki i smutku szarego starości... Lecz mówić wam nie będę o tem. I poco... Dźwięk pusty i bez treści, bo bez przeżycia przez was wielu...

„Panie Dyrektorze, — krótko mówię. — Ja nie zasłużyłam na tyle serdecznych podziękowań. Ja tylko obowiązek mój spełniałam w miarę sił i w miarę mej możliwości. Czy zawsze dobrze, nie wiem... To ja dziękować winnam Panu za wyrozumiałość dla mej pracy, za pobłażliwość w jej ocenie. To ja serdecznie Panu, wszystkim dziś dziękuję... I za te kwiaty piękne — także...”.

I znowu milczenie — tak strasznie wymowne chwilami — w pokoju panuje. Zbliżają się wszyscy po kolei do mnie w milczeniu i ciszy... Dłoń mocno ścisną, całują mnie w rękę bez słów, — bez żadnych słów... A mówią tylko oczy, ich spojrzenia takie różne, jak różne myśli, serca różne, — jak dusze różne ludzkie — na tej ziemi.

— „Najwyższy już czas, by wakacje nadeszły” — przerywa tę ciszę nareszcie Dyrektor. — „Nie wiedziałem do dzisiaj, że jestem tak strasznie zmęczony, że nad sobą panować nie mogę. A teraz poproszę wszystkich — a przede wszystkim Panią Niełaską — do siebie na herbatę, byśmy mogli i odpocząć troszeczkę i porozmawiać ze sobą, lecz już nie o sprawach urzędowych, które nas dostatecznie zmęczyły przez cały rok szkolny i ostatnie najgorsze tygodnie pod koniec roku szkolnego.”

Przy stole zastawionym ciastami, owocami i kwiatami w prywatnem mieszkaniu dyrektora siedzi cały personel nauczycielski, złożony z kilkunastu osób różnego wieku, różnego wyglądu. Jest starszych tu trochę. Ci siedzą wyżej przy stole. I młodych też dość. Lecz ci bliżej końca usiedli. Tam więcej milczenia, słów skąpo. Tu zaś odwrotnie, — więcej jest rozmów wesołych i gwaru żywego.

Pani Niełaska siedzi na pierwszym miejscu przy stole, choć się od tego ogromnie bronila, — i milczy. A przy niej — matematyk, już starszy, pod pięćdziesiątkę ma chyba. I on nic nie mówi. I on zapatrzony przed siebie i w siebie — i w życie człowieka na ziemi.

— Jestem tak zaskoczona dzisiejszą niespodzianką, że jeszcze do siebie przyjść nie mogę, — mówi do swego sąsiada Pani Niełaska, gdy trochę uspokojenia na rozkołysane uczucia i myśli spłynęło.

— A cóż w tem dziwnego? Tak być powinno. Odchodzi Pani od nas, żegnamy Panią, — odpowiada jej krótko.

— Ale słowa podziękowania, uznania dla mej pracy — mnie się nie należą.

— Dlaczego?

— Bo cóżem wielkiego zrobiła? Nic. tylko obowiązek swój spełniłam.

— Jakto? Tyle lat uczciwej pracy — to nic? Całe życie oddane — to nic?

— Pracować uczciwie powinien każdy przecie. To obowiązek każdego człowieka. I za to dziękować nie trzeba.

— O, nie, Pani. Tu dziś było jeszcze za mało.

— Jakto? Pan chyba żartuje?

— Nie, Pani. Bo dziś tu powinny być jeszcze i nasze wyższe władze i wyrazić Pani uznanie za pracę Jej tyloletnią i ciężką, podziękowanie za darmo daną półroczną pracę dla szkoły przez Panią. Bo przecie będąc już emerytką nie była Pani do tego obowiązana.

— Cóż znowu? I poco?

— A po to, że nie tylko krytykować należy, niedociągnięcia wytykać, ale tak samo i „przeciwności” podkreślić i uznać nie szkodzi. Choćby dlatego, by innych zachęcić — do wysiłków ponad normę i miarę, jeżeli są w stanie podołać. Lub choćby dla formy uprzejmej jedynie i stwierdzenia, że pracę tę widzą i cenią.

— Co Pan też mówi? I tego, co było, za dużo...

— Za mało, nie za dużo, moja Pani. Ale trudno. My się dopiero uczymy życia obywatelskiego. My wszyscy musimy się uczyć dopiero tego, co inne narody już we krwi swej mają oddawna. Na początek to dobre i to, co dziś tutaj było.

— Tak, Panie. Myśmy tak długo w niewoli przeżyli, w warunkach zupełnie odmiennych od tych, w jakich inne narody i państwa żyć mogą. Myśmy nie mogli iść naprzód, doskonalić się w życiu państwowem, a odwrotnie, to co kiedyś zdobyliśmy — w zapomnienie przez niewolę pójść musiało. I dlatego jestem zdania, że nie należy już dzisiaj za dużo wymagać. Z czasem, z doświadczeniem — zdobędziemy i my, co potrzeba. To też teraz nie można za wiele wymagać — powtarzam.

I dlatego powiadam, że dzisiejsze pożegnanie mnie tutaj jest zbyteczne.

— Bo o Panią tu chodzi, to dlatego za zbyteczne to Pani uważa. Zawsze w cieniu stać Pani chciała, by nikt jej nie widział. Ale czasem potrzeba się przemóc. Dla przykładu. By inni zobaczyli, jak to w życiu między ludźmi być winno. Otóż dzisiaj naprzykład, — młodzież się dowie, że praca tyloletnia, wytrwała znalazła uznanie choćby w gronie kolegów nielicznem. Może niewielu zrozumie, zapamięta, to nic. Choćby kilku. I tego narazie wystarczy. Otóż dowie się, zapamięta mała garstka chociażby, że nie tylko za pióro lub krzesło podane — dziękować należy, ale tak samo lub więcej jeszcze za obowiązek uczciwie spełniony. Za pracę całego życia. Bo teraz to tego nikt nie chce wiedzieć. Cóż mówić, by zechciał oceniać, dziękować...

— Co Pan też mówi? Przecie Dyrektor za dużo...

— Nie za dużo. Za mało. Dla Pani to dziwne. Bo Pani wyrosła z tych ludzi dawniejszych ofiarnych, co schodzą ze sceny życiowej powoli. A „dzisiaj” jest inne. I człowiek dzisiejszy też inny. Prześcigać się z drugim w uprzejmości, uczciwości, pracowitości, — nie lubi, nie umie i nie chce...

— Czyż ludzie dzisiejsi są inni?

— Ach, Pani. Zamknięta w swym domu, daleka od ludzi — Pani nie styka się z nimi, to Pani ich nie zna tych ludzi dzisiejszych — tak trzeźwych okropnie aż zimno, lodowo się robi na myśl samą o nich.

— Jacyż są oni zdaniem Pana i skąd ta różnica wypływa?

— U nas wiele złego zrobiła niewola, która w duszach trwa ciągle. U innych narodów — i u nas tak samo — obniżyła kulturę człowieka wieloletnia wojna światowa, która zawsze przynosi ze sobą upadek duchowy człowieka, analfabetyzm powrotny w znaczeniu moralnem sprowadza. I jeszcze jedno tu dodać należy. Za wielkimi, za szybkimi krokami naprzód pędzi przed siebie — cywilizacja. Wynalazków moc, wiele przeróżnych ulepszeń przynosi nam prawie dzień każdy a przez nie odmieniły się nasze warunki życiowe tak bardzo, że za nimi duch ludzki nie może nadążyć, przystosować się do nich i zrównać się — strona zewnętrzna z wewnętrzną. A stąd dysharmonja powstała między cywilizacją człowieka a jego duchową kulturą. A do tego dodajmy, że maszyny przeróżne usunęły człowieka zupełnie od pracy dawniejszej, pełnej myśli i ducha. Prawda. Ułatwiła mu życie w kierunku wysiłków fizycznych, lecz razem z tem także zepchnęła mu duszę jego w bok i sama zajęła jej miejsce. Dziś człowiek sam stał się poniekąd maszyną. Idealizm, romantyzm, demokratyzm tak głośny obecnie, — wszystkie hasła podniosłe i bratnie — są na ustach jedynie dzisiejszego człowieka, lecz nie w sercu. Bo w sercu — panuje maszyna i papier. Bo w sercu — nic nie drga dla innych. Tam „ja” własne, interes, karjera jaknajszybsza, użycie bez wysiłków, bez pracy — bo maszyna zastępuje go w pracy tak często — panują jedynie. „Ja” własne panoszy się wszędzie. Analfabetyzm powrotny w znaczeniu moralnem — tak szeroko się rozlał po świecie...

— Czy Pan się nie myli? Czy nie za czarno Pan

patrzy na życie obecne? Demokracja dziś wszędzie naprawdę panuje. Więc jakże...

— A — słusznie. Demokracja panuje naprawdę. To znaczy — lud rządzi. To znaczy, że każdy dziś „panem”, że każdy dziś rządzićby chciał. To znaczy, że nie chce być sługą dziś nikt ni matce, ni bratu, ni nawet Ojczyźnie. Lecz każdy inaczej pojmuje ten wyraz i jego znaczenie tłumaczy. Ba! Nawet od strony zewnętrznej — od strony mieszkania, ubrania, jedzenia — treść tego wyrazu i wartość jest różna. Cóż mówić o jego znaczeniu wewnętrznym, moralnym... Czyż nie tak? Na jedno się godzą ci ludzie dzisiejsi — używać bez pracy najmniejszej, — nie równać się z ludźmi wszystkimi, jak z braćmi, lecz nad nich wynosić jedynie... Czyż nie tak? Nasz woźny mieć będzie niedługo godziny dla przyjęć, by innym pokazać, że „panem” jest tutaj... Nikt nie chce być sługą — dla drugich. I wszędzie tak samo. I każdy cię pyta, gdy będziesz tu owdzie, w urzędzie ze sprawą czy własną czy cudzą: „Ty wiesz, kto ja jestem? Ja tu — kancelista w urzędzie! A ja — pan referent! A ja — pomocnik! Z szacunkiem przed nami. I zawsze nie w porę przyjść musisz.” A potem w papiery zagląda, nie w życie człowieka — i mówi: „Nie można załatwić. Bo brak okólnika. Bo jakiś artykuł przeszkadza. W artykuły, paragrafy, okólniki — na papierze — on życie zamyka tak, jakby to życie już żywym przestało dlań być. On przeszkodzić, utrudnić ci może twe życie. Ale — pomoc — tak rzadko. Bo papier przeszkadza. Bo nie byłby „panem” lecz sługą lub bratem — dla ciebie. Bo hasła i „izmy” — na papier, — na wiatr...

— Czy to być może? Czy Pan się nie myli? A dzisiaj? Tyle serca doznałam od wszystkich...

— To wyjątek. Bo raz, że nas „wzięło”.

— Jakto — nas „wzięło”?

— Bo my prawie wszyscy pedagodzy może z racji ciągłego przestawiania z młodzieżą i dziećmi i nastawiania się na ich psychologję, — mamy i sami coś z dziecka w swej duszy, które tak łatwo czemś wziąć, w którym łatwo uczucie — tak często bezradne — obudzić... Ale zgasną porywy młodzieńcze za chwilę — same przez się, bo życie tak każe. Lub zzewnątrz czemś zgaszą je prędko — ludzie papierowi — papierowym pomysłem... I znów przycichniemy w apatji — na dłużej...

— A co drugiego miał Pan na myśli??

— A drugie... Wśród grona naszego jest parę osób, którym mogą tak samo niedługo powiedzieć: „Idź sobie, boś stary. Idź sobie bo sił już masz mało, boś słaby, bo ja tu swojego człowieka chcę wsadzić”... Więc dzisiaj ci ludzie w swoją przyszłość niedaleką już może — spojrzeli tak zblizka. I to ich też wzięło...

— A któżby stąd więcej mógł odejść? Nie widzę nikogo.

— Na indeksie jest sporo. Ja — pierwszy...

— Pan? To nie może być chyba? Tyle wiedzy ogromnej. Taki wpływ wśród młodzieży. I Pan miałby stąd iść? Nie wierzę. Pan żartuje.

— Ależ tak, moja Pani. Naprawdę. Już mi raz nawet kiedyś dość wyraźnie mówiono, bym pomyślał o — emeryturze...

— Ależ Pan jeszcze jest młody i ma mało lat służby... i

— A cóż to może kogo obchodzić? Papier tak mówi, — jak papier...

— I kiedyż to było? Czy dawno?

— To było po długiej i ciężkiej chorobie, com przeszedł lat parę temu.

— No i co? Ale wszystko skończyło się dobrze? Nie może być chyba inaczej.

— Robię swoje i czekam. Prawda, sił trochę przybyło... mi teraz. Ale skakać po schodach i klasach, jak kiedyś, jak młody, nie umiem, nie mogę już teraz.

— Posiada Pan zalet tak wiele innych — za to.

— Cóż to znaczy? Niewiele. Ale — czekam, co dalej z tem będzie. A tymczasem chwilami sam z siebie żartuję i mówię: „Kto nie ma w głowie, ten ma w nogach. Ja mam mało w nogach, to może mam więcej w głowie...” Ale znowu się pytam: „Czy jedno przez drugie zastąpić się daje?” Ale trudno. Jakoś tam musi być przecie. Więc lepiej nie myśleć. Ale niechaj Pani tam spojrzysz — na lewo. Koleżanka francuska stanęła przy stole i wszyscy ucichli. Pewno mówić coś zechce.

Tak było istotnie.

Stoi niezbyt już młoda blondynka przy stole, o oczach miękko lecz smutnie patrzących, o włosach już siwych zupełnie, co częstem jest teraz po wojnie zjawiskiem u ludzi w jej latach i młodszych. Nic to dziwnego. Bo wojna szalała nie tylko w okopach na linii bojowej lat tyle. Nierzadko za frontem ból niosła nam większy, niż kula śmiertelna od wojska wrogiego. Więc

patrzą te oczy — nie młode, lecz także nie stare — przed siebie, a lepiej — za siebie, w te straty serdeczne wojenne, przewroty życiowe, ciężary nadmierne zwalonne przez wojnę na barki jej słabe kobiece... Aż wreszcie przemawiać zaczyna do Pani Niełaskiej:

„Szanowna i Kochana Pani. Ukochać trzeba coś. Ukochać. Coś trzeba w sercu mieć. Pani ukochałaś całą duszą swoją — dzieci i młodzież szkolną. A chociaż siwizna przez tyle lat pracy i trudu przyprószyła Ci głowę, — serce Twoje, Pani Kochana, jednakowo wciąż bije gorąco dla młodzieży, tej najlepszej części, tej źrenicy w oku każdego narodu i państwa, tego najpiękniejszego kwiatu na naszej ziemi szarej. Dzisiaj wychodzi Pani z szeregów nauczycieli i wychowawców młodych pokoleń. Lecz za Tobą w ślad pójda i prześladować Cię będą ciągle aż do końca dni Twoich te młode i jasne spojrzenia dziecięce, te dobre i uczciwe serca młodzieńcze, — niezatrute jeszcze jadem pieniędzy, karjery... I pójdzie wszędzie za Tobą i męczyć Cię będzie przez resztę dni Twoich tęsknota beznadziejna, nieukocona — za szkołą, za młodzieżą, za tą pracą, która stała Ci się nałogiem okropnym, niezwalczonym, jak tyle nałogów zastarzałych człowieka. I szarpać Cię będzie tęsknota — na widok budynku szkolnego, — na widok zeszytu lub książki w Twym domu, czy w sklepie, czy w ręku podróżnego w pociągu... I oczy Twoje zwracać się będą zawsze w tę jedynie stronę, gdzie młodzież i dzieci zobaczysz. I tak codzień, co godzinę — aż do końca być musi... Bo niesposób jest nosić w swem sercu gorące i mocne uczucie przez dziesiątki lat życia, a potem —

na wezwanie własne czy cudze — zniszczyć je wyrzucić odrazu — to największe a częste i jedyne ukochane nasze.

„Pani! Odchodzisz od nas, bo, — jak mówią, — zasłużyłaś sobie na odpoczynek po tylu latach ciężkiej pracy nauczycielskiej. Lecz serce Twoje — pozostanie — tu z nami. A nasze — będzie zawsze z Tobą. Bo pozostawiasz po sobie tutaj wśród nas w całej szkole — tyle głębokiego szacunku, podziwu dla Twojej pracy wytrwałej i długiej, która trwała przez życie całe z jednakowem oddaniem się szkole i wychowaniu młodzieży... Bo praca Twoja nie pójdzie na marne, nie zginie bez śladu... Bo z serca uczciwie i hojnie dawana...”.

Skończyła przemawiać. Podeszła do Pani Niełaskiej, ucałowała serdecznie. A za nią i inni też idą, jeszcze raz swe uczucia szacunku i przyjaźni składają.

— Proszę Państwa! Stawiam wniosek, — odezwał się teraz, gdy wszyscy znów siedli przy stole, historyk w okrągłych i wielkich okularach na twarzy dość szczupłej i śniadej, myślącej, choć młodej.

— Słuchamy.

— Proszę skupić uwagę, jak również powagę — dodaje z uśmiechem historyk. Nie wolno nauczycielowi wychodzić do emerytury — aż do śmierci.

— Jakto? Co Pan wymyślił? — wołają doń wszyscy ze śmiechem.

— Proszę się nie śmiać. Proszę posłuchać. Rodzice kochają swe dzieci — do śmierci. I nie chcieliby nigdy rozstawać się z nimi. Nauczyciel zaś żyje się

z młodzieżą, jak z dziećmi własnymi. Niech ma więc te dzieci przy sobie — tak samo — do śmierci.

— A gdy straci swe siły i zdrowie, to co?

— Proszę mi nie przerywać. Zaraz powiem i o tem. Otóż wtedy należy mu zmniejszyć ilość lekcyj do minimum, do kilku tygodniowo choćby. Niechaj bierze należną mu emeryturę i do szkoły na lekcje w miarę sił swoich chodzi. I jemu z tem będzie dobrze, bo nie straci kontaktu ze szkołą, z młodzieżą i z życiem. I skarb na tem zyska i społeczeństwo, bo do końca życia swojego nauczyciel da ze siebie choć część swojej pracy, choć pewien procent od kapitału społecznego, jaki ze siebie przedstawia.

— Bravo! On dobrze mówi — woła kilka głosów wesolo.

— Nie skończyłem. Proszę uważać dalej. Mój wniosek nie jest ani absurdem, ani fantazją. Ja wziąłem dłoń z życia podstawę. Bo naprzykład kiedyś w szkołach rosyjskich tak było, że nauczyciel już stary, choć brał już całą emeryturę, mógł mieć w szkole choćby sześć godzin tygodniowo, płatnych dodatkowo do emerytury. A jeżeli czuł się dość silnym jeszcze, to nawet i więcej. I to było dobre. Bo ze szkołą nie zrywał, a tem samem był czemś w społeczeństwie.

— Doskonale! Zgadzą się wszyscy — wołają. Może jeszcze kto stawia jaki wniosek?

— Ja stawiam wniosek — woła fizyk w okularach okrągłych tak samo, lecz i twarz ma okrągłą, rumianą, choć starszą cokolwiek.

— Słuchamy.

— Nie wolno przychodzić do szkoły matkom w sprawach dzieci. Mają przychodzić tylko ojcowie.

— Brawo! Ale dlaczego?

— Proszę słuchać motywów.

— Słuchamy. Prosimy.

— Bo każda matka rozmawia, a właściwie opowiada o swem dziecku najmniej pół godziny. To jeszcze nic. Ale gorzej, bo każda z nich mówi to samo. Że dziecko jej nigdy nie kłamie, nigdy nie bije się z drugim, nigdy nic nie zepsuje ani swojego ani cudzego, ani szkolnego. Że zawsze się uczy tak pilnie. A jeżeli on czegoś nie umie, to jakaś pomyłka, albo też wina kolegi jej syna. Że syn jej dla wszystkich jest grzeczny, a jeżeli się bije czasami z kimś drugim, to tamten napewno z nim zaczął, a on się chciał bronić jedynie. Że dziecko jej dobre, kochane, idealne i zdolne, genialne... I tylko zgóry uprzedzony do niego widzieć tego nie chce zupełnie. Że szkołę tak kocha ogromnie, — może więcej niż dom własny nawet, profesorów tak lubi i ceni, że słów niema na to, by można wyrazić — naprawdę, naprawdę... Aż wreszcie profesor zmordowany, zwalczony, pobity zupełnie, że tego nie widział aż dotąd, tylko milczy i słucha choć z trudem, oponować w czemkolwiek zaniechał, nie może, nie da rady.. A za chwilę już druga to samo znów w głowę mu kładzie, że...

— Dość tego, Panie! Nie trzeba już więcej. My wiemy. Oj, wiemy. Zgadzą się wszyscy bez wyjątku. Przyjęte! Przyjęte! — wołają ze śmiechem.

— A czy wyjątki być mogą dla matek? — jakiś głos młody woła.

— Owszem. Ale wtedy jedynie, gdy matka jest młoda i ładna. To można posłuchać — odpowiada na pytanie wnioskodawca.

— Brawo! Zgoda! Co jeszcze?

— Stawiam jeszcze jeden wniosek — woła tenże nauczyciel.

— Jaki? Aby dorzeczny, jak tamte.

— Naturalnie. Nie wolno żadnemu naszemu przełożonemu być jedynie urzędnikiem i stykać się jedynie z papierem na biurku, a nie z żywym życiem szkolnym. Inaczej: każdy przełożony — do najwyższych władz naszych włącznie — winien podlegać pewnemu przeszkoleniu od czasu do czasu, albo też winien być jednocześnie i stale nauczycielem, to jest — mieć zawsze pewną niewielką zresztą ilość lekcyj w szkole. A to dlatego, że w ten sposób jedynie będzie mógł każdy z nich pamiętać o tem, że — co innego jest uczyć, a co innego „nauczać” drugiego. Że co innego jest wydawać rozkazy lub pisać programy i okólniki, a co innego wykonywać je i w życie wprowadzać, — bo sam będzie je pisał i w życiu stosował. Że papier i życie — to są dwie wielkości niewspółmierne. A przez to będzie mniej okólników a także i oszczędność — na pracy często bezcelowej no i — na papierze... Zgadzą się Państwo?

— Naturalnie! Naturalnie!

— Brawo! On to dobrze obmyślił.

— To przecie dobra głowa. Umie myśleć logicznie — wołają ze wszystkich stron rozbawieni jak dzieci.

— Panie Dyrektorze! — odzywa się znowu tenże

fyzyk. — Uchwały zapadły jednomyślnie. Więc bez aprobaty wyższych władz naszych winny być wprowadzone w życie. Zatem od jutra — będzie tak samo, jak było do dzisiaj. Prawda?

— Chyba że tak — odpowiada z uśmiechem Dyrektor.

— Ostatni wniosek! Uwaga!

— Słuchamy. Słuchamy. Co jeszcze?

— Idziemy do domu.

— Dlaczego? Zaczyna tu być tak wysoko — zauważa ktoś z młodszych. — Dlatego, że wszyscy jesteśmy zmęczeni. A jeszcze nas czeka dni kilka gorącej pracy. Dziś trzeba cokolwiek odpocząć. Bo — uwaga, Panowie i Panie! Pojutrze to jest we czwartek czekają nas ważne chwile — rozdanie matur i świadectw wszystkim uczniom. A łącznie z tem — długie i ciężkie rozmowy — z matkami tych uczniów, którzy promocji do następnej klasy nie dostali — a tylko z naszej winy — jedynie. Odwagi, Panowie i Panie! A teraz — idziemy.

— Idziemy...

Zeszła się rzesza uczniowska do gmachu szkolnego i całe podwórze zajęła, odświętnie wymyta, ubrana, boć to dziś ważny dzień w życiu uczniowskim. Na twarzach tu owdzie cień lekki się snuje a z oczu niepewność chwilami spoziera. Coś się w tych młodych głowinach kotłuje, układa, coś pyta natrętnie... Niepokój od rana tak męczy... A co to mnie dzisiaj przyniesie... A jak tam bywało przez rok cały szkolny...

Toć każdy ma grzechów uczniowskich w swej duszy garść sporą. Nazbiera się tego niemiara, naciuła powoli, choć przecie naprawdę nikt nie chce nic złego — nikomu, — ni sobie tak samo... Czasami tak jakoś się stanie bez żadnej przyczyny i chęci coś złego. To pamięć zawiedzie, to skusi go drugi kolega. To tyle ciekawych niezwykłych wydarzeń dokoła, w podwórku, w ogrodzie, nad rzeką lub w polu... A wszędzie nasz uczeń być musi, popatrzeć czy pomóc w czemkolwiek, a czasem przeszkodzić — niechący jedynie...

Żebyż nareszcie coś wiedzieć pewnego! A tu od nikogo wydobyć nie można jednego krótkiego słóweczka — „tak, dobrze jest z tobą”. To jedno maleńkie słóweczko... Cóż komu szkodziłoby szepnąć w sekrecie... A zaraz innemi oczami on patrzyłby na świat przed siebie... I zarazby lepszym się stał...

Już teraz naprawdę do pracy się weźmie. Codzień wszystko dobrze odrobi i nic nie przeoczy. A potem dopiero pobiegnie do drugich, do parku, nad rzekę, by tam się napatrzeć dosyta — i żabom skaczącym po łące — do wody. I ptakom, co w górę wysoko się wznoszą, że ledwie je widać na niebie, — lub wodę muskają skrzydełkiem, chwytając coś w locie. Ach, jakby to było prześlicznie, by ręce móc podnieść do góry, zamachnąć raz drugi i trzeci z sił całych. I lecieć do słońca wysoko, wysoko... Albo też gniazd szukać trzeba nad brzegiem na drzewach lub w krzakach... Tak różnie budują ptaszyny te gniazda. To prosto zlepione czy z gliny czy z ziemi, z gałązek czasami tak zręcznie złożone. A inne są znowu mięciuchno piórkami wy-

słane, by młodym ptaszętom wygodnie i ciepło w nich było. Dziś zaraz ze szkoły do parku poleci, by spojrzeć na gniazdko wykryte przedwczoraj, na małe pisklęta niezdarne, bezsilne, jak matek czekają, jedzenia, jak dziobki swe mają otwarte szeroko, bo głodne. Lecz krzywdy im zrobić nie można. Bo szkoda pisklęcia. I matek też szkoda, bo zaraz tak płaczą żałośnie, gdy dzieciom ich dzieje się krzywda. Oj, żeby to jedno, jedyne słóweczko powiedzieć mu chcieli już teraz. Już byłby spokojny i dzisiaj i całe wakacje. A potem to będzie inaczej, niż dotąd bywało. Raniutko on wstanie, by sprawdzić codzien, czy książki, zeszyty w porządku, a może przypomnieć, przeczytać to owo potrzeba. Nic przecie trudnego te lekcje. A nawet niektóre są bardzo przyjemne, gdy trzeba samemu coś zrobić w pracowni, jaszczurkom i żabom coś przynieść, nakarmić. W soczewkach i lustrach obejrzeć przeróżne obrazy tak śmieszne czasami — naopak lub krzywe lub takie maleńkie, wciąż mniejsze, że prawie nie widać ich wcale, gdy lustro odsunąć daleko.

— Franek! — ktoś woła tuż obok. — Ty masz promocję napewno.

— Ty, Antek, prędzej dostaniesz, niż ja. Bo złapałem dwa „konie” w ostatnich tygodniach.

— Kiedy też to i owo sknociłem i ja. A wiesz — o mojej bijatyce ze Staśkiem — to wiedzą, to gorzej tak samo... O, Zośka, ten przejdzie do czwartej napewno. On taki cichutki i pilny. To kowal prawdziwy. Wiesz, Franek, ja mogę go skubać, popychać, kłóć szpilką na

lekcji, — on nic, cicho siedzi — słucha uważnie... Morowo, co, kowal!

— Bo wiecie, że ciężko mi idzie nauka. A mama mi wciąż przypomina, że czasy są ciężkie, że ciężko pracuje na życie. I zostawać rok drugi ja w klasie nie mogę, bo chodzić do szkoły przestanę.

— Ty, mamin synek.

— Daj spokój. Nie zaczynaj.

— Ja nic nie zaczynam. Ja tak sobie mówię: mamin synek.

— Przestań Antek, choć dzisiaj w spokoju mnie zostaw.

— Mamin synek. Mamin synek. Ty — baba!

— Ty wrona!

Już iskry się sypią z ich oczu dziecięcych. Już nozdrza rozdęte. Już prężą się ręce. Już bić się gotowi i „baba” i „wrona”. Lecz zbliża się ich wychowawca. Nic z tego na dzisiaj. Odsunął się Antek, lecz wrony darować nie może, — to jasne. Zachował na potem rachunki z kolegą. Nie zginie.

— Franek, chciałbym się zapytać „krokodyla”, czy dostałem promocję.

— To się pytaj.

— A czy powie?

— Może powie. To morowy chłop. Ja tam pytać nie będę. Niewarto.

— Kiedy się boję. Nie. Nie to, żebym się bał. Tylko tak jakoś dziwnie. Bo ja wiem zresztą.

— Ustawiać się w szereg! — zawołał do wszystkich „krokodyl”. Przepadło. Już pytać zapóźno.

Ustawiają się dzieci i małe i duże — pod wąsem już prawie — rozgadane, że ledwie uciszyć je można choć trochę. Nazbierało się tyle od wczoraj. Jak w gorączce są dzisiaj. Ostatni to dzień szkolny w roku. Taki ważny jest dzień. Co to będzie dziś z nami... Czasami ten ów opóźniony z kwiatami przybiega i w szereg się wciska. A oddać ich niema już komu. A trzeba koniecznie, bo zwiędną.

Zawarczał bęben. Marsz. Do kościoła — na mszę, — na modlitwę.

Wielkie dziś święto w kościele. Bo tyle tu dzieci dziś przyszło do Ojca swojego.

Wielkie dziś święto w kościele. Bo przyszły tu dzieci najmilsze, co oczy zdziwione na świat otwierają codzien, co godzinę — i patrzą z podziwem dokoła przez dnie całe, — lata.

A jak to jest dziwnie, że drzewa są wielkie, a wiatr je pochyla tak łatwo, choć sam niewidoczny dla oka.

A jakie to dziwne, że chmury po niebie wędrują, jak ludzie po ziemi, — czasami ścigają się z sobą, każdego dnia inne i każdej minuty, a jednak te same, bo z wody, — bo z ziemi, choć tego nie widać wyraźnie i jasno.

A jakie to cudne, że z ziarna małego, gdy w ziemię je wrzucić, kłos wielki rośnie i chleb potem daje nam wszystkim.

A pszczoły na pola i łąki do kwiatów gromadnie wędrują i słodycz z kielichów zbierają na miód.

A drzewa się stroją, gdy z białej sukienki wyro-

sną, w wisienki czerwone i jabłka złociste — dla dzieci.

I patrzą bez końca i dziwią się oczy dziecięce — na świat. Bo wszędzie dziw jakiś, bo ciągle cud nowy, niezwykły przed oczy im staje. I ciągle pytają i siebie i Ojca, — bo same nie wiedzą i wiedzieć o wszystkich tych dziwach na świecie nie będą do śmierci aż chyba. I nigdy te usta dziecięce nie szepną, jak starsi ich bracia, — co duszę dziecięcą zgubili po drodze życiowej, — „już wszystko widziałem, już nic mnie zadziwić na ziemi nie może. — Bo wszystko już znam. Bo wszystko już wiem. Bom panem tej ziemi”.

Dziś święto w kościele. Bo serca dziecięce tu biją z podziwem dla ziemi i ludzi i Boga. Bo dusze niewinne i wielkie, — bo proste — się modlą z ufnością do Ojca na niebie. A orkiestra dziecięca tak radośnie i chętnie dziś gra — na kornetach, na basach, na trąbach tak wielkich, że grajka - artyści małego zza trąby nie widać. Tak orkiestra ta pięknie dziś gra. Jak skowronki na polach wśród zbóż. Jak koniki na łąkach wśród traw w znojne lato pod wieczór...

Dzisiaj śluby swe składa ta dziecięca gromadka przed swym Ojcem na niebie. I przyrzeka, — już teraz naprawdę przyrzeka, — że pracować od dzisiaj uczciwie już będzie nad sobą — i — zawsze. I posłusznym i dobrym już będzie — dla matki, dla ojca, dla szkoły, dla wszystkiego, co żyje na ziemi... „Tylko Ty mi pomóż, mój Ojcie, mój Boże...”

I zaczyna się Ojciec niebieski uśmiechać tak cudnie do dzieci najmilszych — i z ołtarza w kościele — i z nieba jasnego tam w górze, aż troska osiadła cięża-

rem — do śmierci ze smutku nad ziemią — pierzchnęła z oblicza świętego.

I przez okna wyniosłe wbiegają ochoczo, radośnie promienie słoneczne, na główki dziecięce z rozkazu boskiego się kładą i troski niewinne ich koją, otuchę, pogodę i miłość dla ludzi i życia — tak hojnie im w serca wlewają...

Tak słonecznie, tak podniośle, tak czysto jest dzisiaj w kościele. Tak inaczej i lekko dziś tu każdy odycha. Bo już jutro jaśniejsze i lepsze być musi na ziemi dla wszystkich. Tak dziś Ojciec niebieski do swych dzieci przez promienie słoneczne i ciepłe oznajmia.

Idźcie! Idźcie z powrotem do swej szkoły, moje dzieci jedyne, najmilsze. Darowane wam grzechy i winy, bo zła w duszach waszych dziecięcych nie widać zupełnie. Darowane wam wszystkim, co w swych piersiach nosicie serca proste, uczciwe i młode.

Idźcie w życie wy starsi. Lecz — wy dzieci, wy ludzie, — nie zagubcie, nie zmarnujcie po drodze tego skarbu wielkiego, co wam w pierś ludzką włożył wasz Ojciec niebieski — na życie — Waszej duszy dziecięcej nie zgubcie, którą kiedyś z powrotem złożyć Ojcu musicie.

W dużej sali odświętnie przybranej zielenią pełno dziś gości — ojców i matek, znajomych tych wszystkich, którym będą wręczone za chwilę matury. Tak gwarno jest dzisiaj na sali, lecz gwar ten inakszy, niż zwykle przez rok cały szkolny. A pod ścianą tej sali

skupiona gromadka młodzieży tak samo inaczej, niż dotąd bywało, wygląda. Inaczej im z oczu dziś patrzy. Bo za chwilę odlecieć stąd muszą na wędrowną daleką i długą i na życie własnymi rękami, własnymi siłami krok za krokiem w mozole i trudzie bez przerwy zdobywane — przez jasny dzień i ciemną noc.

Zagrała orkiestra uczniowska. Zaśpiewał chór młody: „Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy”. I wszyscy to świadczyć gotowi — i dzieci i starsi, — bo z miejsc swoich powstałi.

— Dzień dzisiejszy rok rocznie jest dniem uroczystym w szkole — mówi blady wzruszony Dyrektor, bo po raz ostatni do tej garstki młodzieży przemawia, do tych, co za chwilę stąd wyjdą, by nigdy do szkoły nie wrócić. — Bo rok rocznie żegnamy w tym dniu pewną ilość młodzieży, która od nas wychodzi po skończeniu swych nauk. I dla was dzień ten jest też uroczystym, bo dzisiaj otrzymujecie świadectwo dojrzałości, które was uprawniać będzie do dalszych studiów wyższych i do dalszej pracy samodzielnej. Już was nikt za rękę prowadzić nie będzie. Już teraz sami dalej pracować będziecie. I sami za swoją pracę, którą tu rozpoczęliście, odpowiedzialność ponosić będziecie. Mam nadzieję, że wszystkim zadaniom, jakie postawicie sobie za cel życiowy, sprostać będziecie mogli godnie tak, jak Ojczyzna od swych synów tego wymaga.

Oto podszedł pierwszy do stołu, wywołany z gromadki, i w obecności całej Rady Pedagogicznej z rąk Dyrektora otrzymał maturę — i uścisk dłoni chłopięcej serdeczny — na dalszą drogę życiową. Już przestał

być uczniem. A za nim idzie drugi i trzeci, aż wreszcie ostatni. Już każdy z nich samodzielny, dojrzałym człowiekiem.

— „Dzisiaj”, — mówi uczeń, nie uczeń już przecie, o wielkiej i jasnej czuprynie niesfornej i oczach niebieskich myślących, wpatrzony i w niebo i w przeszłość; — rozpoczynamy nowy etap na drodze życiowej. Dzisiaj zostaliśmy pasowani, niczem rycerze średniowieczni, na obywateli Państwa Polskiego. Dzisiaj po raz pierwszy występujemy jako młodzież dojrzała.

„Pierwszym naszym obowiązkiem jest złożyć podziękowanie Panu Dyrektorowi, Panu Wychowawcy, Panom Profesorom za dzisiejszy dzień, bo nie tylko naszą, lecz jest on i waszą zasługą.

„Obyście i wy, koledzy młodszy, doczekali tej pięknej chwili w życiu każdego z nas.

„Niejeden z pośród nas i z pośród starszego społeczeństwa powie: Nosicie w sobie tysiące nadziei i tysiące zawodów. Czy potrafcie żyć? Czy macie przed sobą jakiś wielki cel? — Wielu łamie ręce nad dzisiejszą młodzieżą, młodzieżą powojenną, zgniłą. Lecz myśmy przecie jeszcze wtedy chodzić nie umieli.

„Iskra idei dzisiaj tli w sercach naszych. Lecz pytamy siebie: Co robić? Którą pójść drogą? gdzie serce pociąga? Tu i owdzie widzimy nadprodukcję zawodów. Czegóż się jąć? Logarytmów w dalszym ciągu czy rzemiosła? Niedawno jeszcze z czterema klasami, — a cóż mówić z maturą — można było marzyć o różnych stanowiskach i pracy. Dzisiaj spotykamy

wszędzie trudności. Dlatego też stoimy na rozstajnych drogach, bo co innego mówi nam serce, a co innego rzeczywistość. To też obecnie możemy marzyć o ideałach, grzać się ideałami i myślać — o dobrobycie, który zresztą bardzo późno, często nawet za późno, — bo już po śmierci, jak to było na przykład z Reymontem, przychodzi. Skończyły się nasze sny dziecięce. Idziemy w życie nowe. Ale w jakie?

„Wywalczyli Polacy gmach ojczysty w roku 1914—18 pod budowę. Dziesięć lat buduje ten gmach dzisiejsze pokolenie. A gmach się wali, niby stary dom przesadzony na nowy grunt. To też my młodzi mamy przed sobą wielkie zadanie. Muszą z nas wyjść ludzie nauki i ludzie twardej pracy. Musimy ze siebie dać inżynierów do budowy potrzebnych mostów, regulacji rzek, ludzi do prowadzenia spółek, uprawiania ziemi. Musimy dać ze siebie i Judymów, by poszli w różne kąty prowincjonalne i tam szerzyli kulturę, podnosili dobrobyt w kraju. Musimy, — jak mówi Asnyk — z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe. Bo jesteśmy już z szeregów tej podrastającej młodzieży, której, — jak mówi Żeromski — knut już pleców nie hańbi. A za lat 10—15 zbierzemy się tutaj, by stwierdzić, czy sprościliśmy zadaniom, jakie dzisiaj sobie zakreślamy”.

Skończył mówić i odszedł do swojej gromadki, zamyślanej nad dziwną tą chwilą w ich życiu. Zaraz wyjdą stąd wszyscy, by nie wracać już więcej do szkoły. Zaraz pójdą rozglądać się dalej, szukać i dalszą swą drogę wybierać na tych drogach rozstajnych, których końca nie widać. A czy dobrze wybiorą. A czy

dobrze swe kroki skierują. A czy sił im wystarczy, by po drodze najmiłszej — aż do końca iść prosto.

Czy się cofać nie będą zmuszeni. Jakież trudne zadanie. Lecz od czegoż jest młodość, co swe siły młodzieńcze zamiarami odmierza i w swą gwiazdę szczęśliwą wierzy mocno, gorąco.

— „Uroczystość dzisiejszą jest mi trudno ocenić — mówi do nich ich młodszy, a teraz najstarszy już w szkole kolega. — Gdy spojrzemy w swą przeszłość, w nasze lata dziecięce, to widzimy tę chwilę, gdyśmy tutaj w tej szkole pierwsze kroki stawiali. Dziwne były te mury, dziwne twarze i młodych i starszych nauczycieli. Zato — dużo tak dzieci tu przyszło wraz z nami. I niedługo wszyscy z sobą się żyli, nieśli pomoc wzajemną w potrzebie i — jak w swoim domu rodzinnym — w tej szkole się czuli. Wy już dzisiaj z maturą w szerszy świat wychodzicie. A za rok — my za wami pójdziemy.

„Idźcie w życie odważnie. A gdy losu dłoń twar-
da zmusi czasem do walki i zbyt mocno przyciśnie, po-
biegnijcie swą myślą w wasze lata dziecięce i szkolne,
a otucha i wiara wraz z uśmiechem do życia powrócą.
Idźcie śmiało, spokojnie. Ale z myślą, że — Polska —
to wy. Że Ojczyzna — to wy. Że dobrobyt Polski —
to wy. Żegnajcie”.

I już. Już koniec. Jeszcze raz chór zaśpiewał:
„Vivat academia, vivat profesores”. Jeszcze raz im or-
kiestra zagrała.

Wstają starsi z swych krzeseł. Na sali ruch oży-
wiony. Ostatnie rozmowy, życzenia. Jeden, drugi

uścisk dłoni chłopięcej — na daleką drogę. Już piskłęta dojrzały, muszą gmach ten opuścić. Jak im teraz nie pilno wychodzić. Jak lękliwie i dziwnie młode serce uderza niektórym przed tym ptaków odlotem. Czy pođasz. Czy zbłądzisz. Czy nie zginiesz w tej drodze. Życia tyle przed tobą. Co przyniesie ci jutro. Co dalej.

Nikt zasłony uchylić nie może, która przeszłość ukrywa przed okiem ciekawem zazdrośnie. Nikt zagadki życiowej rozwiązać nie może, — czy zwycięstwo, czy może porażka doń idzie. To i lepiej. Ani śmiać się i cieszyć przedwcześnie, ani smucić się także przed czasem nie trzeba. Młody naprzód iść musi. Mus życiowy tak każe. Choć niejeden w swój papier, w maturę spogląda z niepewnością, — z dumną łzą. Stać na miejscu nie można. Rozkaz, — naprzód — iść w życie, — już dany...

II.

Z gmachu szkolnego pędzi z pośpiechem ósmiu uczniów i małych i dużych, bo ze wszystkich klas ósmiu a i jeden maturzysta jest z nimi. Każdy z tych chłopców niesie w ręku bukiet kwiatów różnobarwnych — a prostych i niewymyślnych, w zwykłą wiązanek zebranych po ścięciu w ogródku przy domu. Jak te duże dziecięce — tak piękne i proste te kwiaty.

Idą chłopcy ulicą i wchodzą do kamienicy oddalonej od szkoły o kilkanaście kroków za ledwie. A tam aż na trzecim piętrze pukają niepewnie do drzwi. Otworzyła im szczupłą, wysoka, ciemno i skromnie ubrana już starsza i siwa osoba. To pani Niełaska. To do niej do mieszkania ośmielili się przyjść dzisiaj jej uczniowie — z kwiatami.

— Wy do mnie? — pyta ich, bo cóżby dziś chcieli ci chłopcy.

— Tak jest, proszę pani — odpowiada najstarszy.

— To chodźcie do pokoju.

Rozglądają się oczy zdziwione chłopięce dokoła. U ich pani w pokoju tak skromnie i prosto, jak chyba

w pustelni być może. Biały stół zwykły stoi na środku pokoju, przy nim parę krzesełek też prostych drewnianych, czyściutkich, jakby wyszły przed chwilą z roboty. Etażerka przy ścianie z książkami. Madonna i kilka widoczków oprawnych z Krakowa — na ścianie. Tylko fotel ogromny głęboki przy oknie się pyszni. Bo na nim po pracy zmęczona — wypoczywa ich pani. Czy i w drugim pokoju tak samo? Ach, tacy ciekawi. Tak radziby zajrzeć, obejrzyć, jak dalej wygląda. Nie można. Nieładnie.

— My do Pani, by Panią pożegnać, — znów mówi najstarszy. — Bo Pani nie było dziś w szkole. A podobno opuszcza nas Pani zupełnie...

— Tak jest, drodzy moi. Wysłużyłam już tyle lat w szkole. I stara już jestem. I oczy mam słabe. I sił niezbyt wiele. Emerytką już jestem. Dostaniecie po wakacjach kogoś znacznie młodszego, niż ja.

— Żałujemy bardzo, że Pani nie będzie nas uczyła. Przyzwyczailiśmy się do Pani — tak bardzo — i do Pani wymagań. Nieraz niejeden się wykręcał od lekcyj, jak mógł. To prawda. Niejeden coś spsocił. Ale nigdy nie chcieliśmy zrobić choćby przykrości najmniejszej. To jakoś się samo robiło. Dla zabawy, dla śmiechu. Pani nam daruje to wszystko... Przepraszamy dziś bardzo za wszystko...

— Ależ chłopcy kochani. Nie mam do was dziś żadnej pretensji i nigdy nie miałam. I zawsze was miłe będę wspominała. A wasze wesołe dowcipy, zabawy — to młodość, to życie bujne w was grało.

— Dziękujemy serdecznie. I prosimy bardzo, że-

by Pani zechciała przyjąć od nas te kwiaty. To od każdej klasy.

I kładzie wiązanekę na stół. I w rękę z szacunkiem całuje. I nic już nie mówi, — bo taki wzruszony tą chwilą. A po nim — i drugi tak samo. I trzeci. Aż wreszcie najmłodszy, najmniejszy się kłania — niezręcznie tak jakoś, — sam nie wie dlaczego. I w rękę całuje — aż cały czerwony ze wstydu. A ona go w głowę, jak matka całuje, przyciska ze łzami wzruszenia — to dziecko najmłodsze...

— Dziękuję. Dziękuję wam bardzo, że przyszedście do mnie... Niechaj Bóg ma w opiece was — zawsze.

Nic więcej już mówić nie może. I patrzy jedynie w te oczy dziecięce, w tę młodość cudowną, co od niej — i teraz odchodzi. I oni też milcząc wychodzą, po schodach pośpiesznie zbiegają — i już są na dole.

— Ty wiesz, Edek, dlaczego tak skromnie u Pani Niełaskiej?

— Dlaczego?

— Bo ona, co może, to innym rozdaje, uboższym od siebie. Studentom pomaga. Ty wiesz? Czy robiłbyś tak?

— Może kiedyś, jak będę już stary i mieć będę dużo pieniędzy.

— Głupis. Można mieć mało i małym się dzielić z kimś drugim, gdy będzie w potrzebie.

— A kto tak powiedział? Może ty wymyśliłeś?

— Nasz profesor tak mówił. Rozumiesz?

— A kiedy?

— Wczoraj. Opowiadał nam dużo o Pani Nie-

łaskiej. I mówił, że jeden z nas pójdzie ją pożegnać z kwiatami. Bo już nie będzie nas uczyła po wakacjach.

— A nam nic nie mówił nasz profesor o niej.

— Bo wy — to straszne malce. Nic nie zrozumielibyście z tego.

— Ojej, o klasę wyżej. Jak się stawia.

— Bo mam czego. Ty pewno nigdy nie dojdiesz do trzeciej. Zagłupisz. A trzecia klasa — to trudna. Hoho!

Pobiegli ulicą. Iść wolno, jak inni, nie mogli. Za nimi i drudzy w podskokach ruszyli. Byle prędzej przed siebie. A zresztą, jak starzy powoli przez ulicę idą — do domu na obiad świąteczny zasłużony.

A na górze.

Ona stoi przy stole, jak stała. I patrzy na kwiaty w nieładzie. I słucha wciąż chłopców rozmowy, choć niema ich dawno w pokoju.

Przynieśli jej kwiaty. Pożegnali — na zawsze... Przeprócili za swoje młodzieńcze niewinne wybryki... Oni sami jak kwiaty — te dzieci wśród nas...

— O, kwiaty wspaniałe, precudne, — szepcą usta bezwiednie cichutko. — Z uwielbieniem, podziwem ja na was wciąż patrzę. Z siedmiu barw cudnych tęczy utkałyście strój wasz na rozkaz niebieski. Przedziwnie subtelne korony małeńkie na głowach nosicie lub wielkie pachnące kielichy, co nęcą zapachem, słodyczą, ukrytą na dnie.

— O, kwiaty wy dziwne. Zakwitłyście w polach i lasach, na łąkach i wodach, by ziemię tę szarą i smutną choć czasem — na krótko — choć trochę przystroić,

rozjaśnić uśmiechem kwiecianym... By wkrótce znów zamrzeć, czy ręką człowieka zerwane, czy słońcem spalone, czy mrozem zastygłe... By służbę swą spełnić, co Bóg wam rozkazał.

— O, kwiaty kochane i drogie. Jak serce się cieszy i rośnie mi w piersiach na widok świeżości, młodości przecudnej. Jak smutek przytłacza, jak żal was serdecznie, że ginąć bez skargi, szemrania z poddaniem się Woli Najwyższej zasypiać i więdnąć musicie. A po was znów nowych pokoleń szeregi bez liku nadejdą, zakwitną w tem miejscu, gdzie wyście zasnęły, gdzie poszłyście w ziemię z powrotem...

— I pocóż wy dzisiaj w mym domu... Wy w oczy już stare, wy w serce już zwiędłe — młodości, radości życiowej już wlać nie możecie... I prędko i marnie — bez celu, pożytku — wy przy mnie w mym domu — przy starej kobiecie — zwiędniecie.

— Wy do mnie cichutko szepcecie — od siebie, od małych tych dzieci, co was tu przyniosły przed chwilą, — „żegnaj nam, żegnaj”. — A ja wam też mówię, — bo muszę, — „Żegnajcie! Żegnajcie, o kwiaty kochane! Żegnajcie wy, dzieci najmilsze”!

Zatrzęsła się ręka wzruszeniem, gdy kwiatów dotknęła. Zatrzęsła się głowa i serce cierpieniem, gdy kwiatom i dzieciom „żegnajcie” mówiła. A oczy w połowie przymknięte powieką wciąż patrzą — daleko przed siebie, — daleko... Tak ciemno, — tak zimno tam — w dali.

— O, acóż tu tego zielska na stole. A któż to

tego tyle naniósł? — woła głośno Janowa, gdy z miasta wróciła z obiadem dla Pani Niełaskiej.

— To moi uczniowie dziś przyszli tu do mnie i kwiaty przynieśli w pożegnaniu. Bo uczyć ich więcej nie będę, jak wiecie.

— Mieli też co przynosić. A że uczyć ich Pani nie będzie, to dobrze. I tak płacić będą co miesiąc. To dobrze dla Pani. A ja... aż do śmierci harować, zabiegać wciąż muszę, choć staram tak samo. Bo przecie jeść trzeba codzień. Biednemu — do końca wiatr w oczy.

— I ja nie chcę darmo pieniędzy tych brać. I muszę choć trochę jakiej pracy nowej się jąć.

— Dziwaczy się Pani i tyle. Jak dają, trza brać. I bez pracy. Bo stary spokojnie dożywać powinien — bez pracy, zarobku żadnego. Bo nie ma sił przecie. Bo dzieciom i ludziom je oddał już wszystkie. Niezmarnował. To powinni mu ludzie dać choćby jeść trochę na starość — i przykryć się czem.

— Macie rację, Janowo. I dziecko, co sił jeszcze nie ma, i stary co stracił te siły przez pracę i życie, każdy winien opiekę dla siebie gdzieś znaleźć, czy u dzieci rodzonych albo też i u obcych gdziekolwiek. Może kiedyś, — ale nas już nie będzie na świecie, — każdy znajdzie opiekę należną.

— A juści. Akurat. Każdy znajdzie opiekę należną u ludzi. Odmienić się całkiem musiałby człowiek. A już on się odmieni. Myślałby kto. Gdzie pełno zobaczy w kieszeni, to wnet się dla tego człowieka na słodko odmieni. Ojej, jak odmieni. Aż dziw...

— Przyjdzie czas, że odmiana nadejdzie, Janowo. Trzeba wierzyć w odmianę i czekać cierpliwie.

— Ale obiad ostygnie tymczasem. Może podać go Pani. To sprzątnę ze stołu to zielsko. Mieli też co przynosić. Oj, rosa wyżre oczy tymczasem, nim się człowiek odmieni na lepsze.

— Nie ruszajcie tu nic. Niechaj leży. Dzisiaj jestem niezdrowa i jeść będę mało. Zostawcie jarzynę i kompot. A resztę sami zjedzcie, boście pewno głodna.

— I czemuż nie miałabym zjeść. Nalatałam się dzisiaj już sporo. Ale Pani mieć będzie za mało. Z sił Pani opadnie.

— Nie będzie mi nic. Ale — dać trzeba stołownikom coś niecoś.

— O, znowu. I poco? Oni w pięcie teraz mają Panine jedzenie. W ogrodach, na polu — jedzenia mają oni wbród.

— To nic. Niechaj wiedzą, że na nas zawsze liczyć mogą. Nasypcie tam czego na okno. Wystarczy i dla nich.

— Z Panią to zawsze. Nasypię, nasypię im trochę kartofli, okruszyn.

— Nasypcie. A nuż który słabszy się znajdzie, przyleci, podziobie, poćwierka. I jemu przyjemnie. I ja choć popatrzę, posłucham ich mowy.

— Nasypię, nasypię.

— A swoje jak zjecie, możecie do domu już iść. Mnie dzisiaj Janowa nie będzie już więcej potrzebna. Aż jutro dopiero zajdziecie.

— To dobrze. Bo nawet chcę zaraz polecieć do Ewki.

— A jakże jej zdrowie?

— Trochę lepiej już teraz. Tylko kaszle okropnie. Lekarstwa już nie ma. Do zjedzeniaby warto coś kupić lepszego. A tu niema już za co.

— Weźcie sobie z szufladki parę złotych dla Ewki. I kupcie co trzeba. Przecie chora.

— To dobrze. O... Ale tu już niewiele w szufladzie zostało. Kilka złotych zaledwie. Czy dla Pani wystarczy?

— To nic. Do pierwszego już blisko. Znów przyniosą mi pensję. I bez pracy. To niechaj i chora coś z tego dostanie. A dla mnie wystarczy i to. Ja — zdrowa.

— Już wzięłam. I lecę. A jutro tu będę raniutko.

— Idźcie już. Idźcie. A przyjdźcie znów jutro.

Zamknęły się drzwi za Janową. Znów sama została Niełaska. Znów pusto w mieszkaniu. I w głowie też pusto... I w sercu tak dziwnie spokojnie...

Kwiatom dała wody w naczyniach. Zjadła resztę obiadu. I sprzątnęła po sobie. Etażerka z książkami, ubrana kwiatami, najwięcej zajęła jej czasu. Podręczniki, zeszyty uczniowskie leżały tam razem z książkami. Przeglądała je pilnie. Ćwiczenia pisemne w zeszytach czytała, jakby jutro na lekcje iść miała. I z błędów się śmiała i głową kręciła zdziwiona, aż z ócz okulary spadały na papier ciekawie, by przyjrzeć się zbliżającym błędom i dziwom dziecięcym.

— Jak można. Jak można tak pisać. To trzeba być dzieckiem naprawdę. Nie myśleć zupełnie. Takie proste to przecie. Ej, dzieci z was, dzieci ogromne. Naprawdę. A czas już spoważnieć choć trochę. Już czas jest najwyższy... — do zeszytów dziecięcych, do siebie mówiła.

Już i wieczór pogodny i cichy. Jakże szybko przeleciał ten czas.

Już na niebie wysokiem gwiazd tyle — miliony. Tak migocą niektóre, tak bledną i gasną chwilami, jakby strachem i lękiem zgaszone. Jakby długiem czuwaniem nad siły zmęczone zamykały powieką swe oczy — na chwilę wytchnienia i snu. To znowu jaśniejają uśmiechem, radością i szczęściem bezmiernem, świetnym blaskiem się błyszczą w zachwycie, bo oczy szeroko i bacznie na świat znów otwarte...

I czemuż czuwacie wy, gwiazdy niebieskie, nad ziemią? Czy straż pełnić macie nad ludźmi? Czy krzywda człowieka i przemoc nad bratem ponętnym widokiem jest dla was, że patrzeć bez przerwy wciąż chcecie? Czy kłamstwo, obłuda i pycha szatańska w człowieku was nęca? Czy w serce człowiecze, już martwe i puste za życia, — bez światła, bez cienia, — obojętne na ludzkie, — nie ludzkie uczucia — patrzycie? Że niema już brata dla siostry. I dziecka dla matki i ojca. Że dzieci - sieroty po świecie tym chodzą i matek szukają, choć matki ich żyją tuż obok. Że życie człowieka i dusza — nic warta. Że niema już Prawa Boskiego, zamilkły sumienia. Że Prawem dziś sta-

ła się Siła.. Wy na to patrzycie, miast oczy odwrócić z odrazą, z pogardą dla ziemi — o, gwiazdy niebieskie...

My, gwiazdy niebieskie, na niebie tak licznie rozsiane przez Boga straż pełnić mamy nad ziemią i ludźmi, nad dziećmi tej ziemi i Boga. Im ciemniej na ziemi, im ciemniej w sumieniach, — tem baczniej my patrzeć musimy. Bo wszystko do księgi niebieskiej wpisane być musi. Bo żadna myśl ludzka, najbardziej ukryta, najcichsze serc bicie, — miłosne czy wrogie — zaginać nie może bez śladu. Dlatego my, gwiazdy, wciąż czuwać musimy. Dlatego my, gwiazdy niebieskie, w sumienia, w sny ludzkie nawet — wciąż wglądać musimy...

Śpi stara kobieta w fotelu przy oknie otwartem — i śni...

I śni o tych latach, gdy była dziewczątkiem młodziutkiem... Po ogrodzie wśród kwiatów pachnących, wśród słońca letniego — za motylem prześlicznym tak biega z zapałem. Dzieweczka chce złapać motyla — dla siebie — na własność — na stałe. A motyl się kręci nad głową, to znowu zagląda jej w oczy, przysiadzie na krzaku białego jaśminu na chwilę i śmieje się z młodej dziewczeczki i mówi:

— Nie złapiesz. Ucieknę.

— Oj, złapię za chwilę.

— Nie złapiesz, dziewczeczko. Ucieknę od ciebie.

— Oj, złapię.

— Nie złapiesz. Ja skrzydła mam kruche. Gdy dotkniesz, to stracą swe barwy i piękno. Ja — zginę.

Goń za mną. Patrz na mnie zdaleka. I ciesz swoje oczy i serce.

— Ja muszę cię złapać. I trudu, zmęczenia żałować nie będę. Boś piękny. I żyć musisz dla mnie jedynie.

— Dzieweczko. Daj spokój. Ja zginę w twych rękach. Nie będzie motyla...

I dalej ucieka i barwy swe zmienia co chwilę... A ona się za nim zawzięcie ugania, wciąż łapie motyla. A motyl znów innym się staje i znowu ucieka. A ona — zmęczona. Już biegać, już chodzić jej trudno. A motyl ucieka — wciąż dalej ucieka. Już wieczór nadchodzi, noc ciemna się zbliża. I ona już stara. I niema motyla.

Śni się jej dalej, że przestała być dzieckiem, że jest już dorosłą osobą, bo w rękę swym trzyma — biały papier — świadectwo ze szkoły skończonej. Teraz wejdzie w szeregi dojrzałych już ludzi. Będzie z nimi pracować wytrwale z zapalem — dla siebie, dla ludzi, dla szczęścia...

Taka sala ogromna, świątecznie przybrana. Tak obco i zimno jest dzisiaj w tej sali ogromnej. I taka jest sama — choć tylu tu ludzi...

W jej sercu młodziutkiem jakoś miękko i dziwnie się robi. A w oku łza coraz większa nabrzmiewa. Wybiega pośpiesznie z tej sali, od ludzi tych wszystkich ucieka — do klasy. Tu pusto, tu niema nikogo, lecz dobrze dlatego w tej klasie, gdzie tyle chwil życia spędziła. Tu wstydzić się niema potrzeby. Na ławce swej siada i patrzy na ściany, katedrę, tablicę. Żal chwyta za serce tak mocno i ostro. I płakać zaczyna serdecz-

nie, żałośnie, jak dziecko się skarży przed sobą jedynie. Dlaczego? Czy - że szkołę opuszcza a matki, ni ojca już niema, jak inne dziewczynki szczęśliwe. Czy - że boi się życia, choć młoda i silna i nie zna walk życia i jego przegranych. Czy - że nie wie, co jutro przyniesie, co z sobą ma począć i którą pójść drogą, a sama o sobie stanowić od dzisiaj już musi. Więc płacze nad sobą, nad wszystkim, co przeszło i nad tem, co idzie w jej stronę, choć nie zna przyczyny swych łez...

Płacz, dziecię. Dziś inne twe łzy, a jutro znów inne wytrysną z twych oczu. A potem znów inne. Aż wreszcie głęboko się skryją, na dno twego serca ciężarem bezmiernym zapadną. I płakać przestaniesz zupełnie już wtedy. Czy lepiej ci będzie w te dni...

Weszła Pani do klasy. Zobaczyła ją w ławce. Przytuliła do serca jak matka.

— Czemu płaczesz, kochana — pyta ją.

— Tak mi żal czegoś dzisiaj. Taki lęk mnie ogarnia. I boję się czegoś ogromnie. Sama nie wiem dlaczego...

— Nie płacz, dziecko kochane. Łzy zachowaj na potem, na twe ciężkie przeżycia i bóle. Od nich nikt nie jest wolny na ziemi. Wcześniej — później — nadejdą. Tak być musi. A teraz trzeba myśleć i działać, jak dojrzała osoba. Dziś rozmówisz się z babcią. Jutro dasz mi odpowiedź. A za tydzień wyjedziesz do pracy, na kondycję do dzieci, które będziesz uczyła. Po wakacjach powrócisz do szkoły i będziesz tu z nami pracować — nad młodszymi od siebie — nad dziećmi.

Ale musisz od dzisiaj — ty sama — już przestać być dzieckiem...

Śni się jej dalej znowu jakiś sen.

— Świt - świt - świt! Świt - świt - świt! — cicho woła ptak z drzewa w ogrodzie, przebudzony w połowie ze snu, bo już świtać na niebie zaczyna. Ale słońca nie widać. Jeszcze szaro na świecie. Drzewa, krzaki i domy niewyraźnie mającą, ledwie dojrzeć je można cokolwiek. Trzeba główkę zziębniętą, zaspaną pod skrzydełko znów schować przytulnie, jeszcze pospać troszeczkę.

— Świt - świt! Świt! — Świt - świt! Świt! — odzywa się drugi ptak z drzewa półgłosem. Znowu cichnie ptaszyna i zasypia z powrotem. Choć rumieni się niebo troszeczkę nad ziemią, ale słońca nie widać. Można spać jeszcze dalej.

— Widno! Widno! Widno! — za chwilę już woła ktoś z drzewa — donośniej niż przedtem.

— Jak ładnie! Jak pięknie! Wstawajcie!

— Jeszcze czas! Jeszcze czas!

— Czas wstawać! Czemu śpicie? Czemu śpicie?

— O-je-jej! O-je-jej! Już późno! Wstawajcie!

Do życia! Do słońca!

Rozbudziła się rzesza ptaszęca do życia w ogrodzie na drzewach zielonych. Na wyścigi prowadzą ze sobą rozmowy, bo nowiny ostatnie podają, o snach swoich dziwnych już mówią jeden drugiemu. Gwar ptasząt rośnie, chór ich pełnieje. Słońce wstało już. Ptak nie może dłużej spać.

— Ja chcę jeść.

— Tam do okna leć.

— Ona śpi.

— To ją zbudź.

Skaczą ptaki po oknie otwartem, hycają i głośną rozmowę ze sobą prowadzą o swoich ptaszęcych przeżyciach i snach.

— Ćwirr, ćwirr. Ćwirr-ćwirrr.

— Ona śpi.

— Widno. Widno. Daj nam jeść.

— Ona śpi.

— Zbudźmy ją. Zbudźmy ją.

— Ćwirr-ćwirr. Ćwirr-ćwirrr. Ćwirr-ćwirrr.

Coraz głośniej rozmawia i woła do śpiącej ta szara wróblęca gromadka. Lecz śpi stara kobieta. A na oknie nic niema dla ptaków. Dlaczego? Co się stało? Dotąd zawsze był gotów stół dla nich o tej porze porannej.

Jeden śmiałek wskakuje na ramię. A drugi na rękę jej siada. Lęku żaden nie czuje, bo nikogo z nich od niej żadna krzywda najmniejsza nie spotkała dotychczas.

Czyszczą swoje ubrania po śnie letniej nocy. I dziobki też czyszczą, bo za chwilę jeść przecie dostaną. Niech się ona obudzi nareszcie. Pośród gwaru, hałasu przecie spać długo nie może.

Otworzyła swe oczy Nietaska. Zobaczyła swych gości na oknie, na rękę, ramionach. Uśmiechnęła się do nich przyjaźnie, odezwała życzliwie i miękko:

— Już jesteście. A krzyczeć tak głośno musicie

koniecznie. Bo na oknie nic niema do jedzenia. Zapomniałam. Dostaniecie za chwilę.

— Ćwirr - ćwirr. Ćwirr. Prędeż jeść. Jeść — niecierpliwą się głodne wróbleta na oknie.

— Ćwirr - ćwirr. Ćwirr - ćwirr. Ćwirr - ćwirr. Ćwirr - ćwirr.

— Już dość tego krzyku. Spokojniej. Macie kawałek bułeczki na teraz. Na śniadanie wystarczy.

— Ho - ho - ho - ho - ho - ho! Ho - ho - ho - ho - ho - ho... Tu - tu - tu! Jaki kawał. To mój. Nikomu nic nie dam.

— Te - te - te - te - te! Te - te - te - te! Odejdź stąd! Moje to! Moje to!

Ptaki dziobią okruchy, porywają co większe kawałki w swe dzioby i krzyczą tak głośno, jak w polu. To swoich przyjaciół maruderów na śniadanie zwołują. To biją się z sobą o chleba kawałek zupełnie, jak ludzie.

Już pusto na oknie. Już wszystko sprzątnięte. Ale skacze po oknie jeszcze jeden i drugi gość szary, przekraczając swą główkę i wlewo i wprawo i szuka uważnie, czy czasem nie został gdzie jaki kawałek jedzenia przypadkiem; pogada, pokrzyczy wesoło — i leci na drzewo do swoich przyjaciół i braci.

I znowu przy oknie w fotelu została samotna Niełaska. Wybiła już czwarta. Taki długi dzień przed nią... Co dziś będzie robiła przez dzień długi letni... Tak. tak...

Co dziś będzie robiła?

Tik - tak! Tik - tak!

Wahadło zegara raz wlewo, raz wprawo się ciągle obraca i szepce cichutko, że ledwie dosłyszeć je można: Czas pędzi z zawrotną szybkością wciąż dalej i naprzód. Zatrzymać na chwilę choć krótką nie można. Ni cofnąć. Wciąż naprzód i dalej czas pędzi...

Tik - tak. Tik - tak.

Wahadło zegara raz wlewo, raz wprawo się waha. Ni zlewa, ni zprawa go cofnąć nie można. Ni wstrzymać na chwilę, — bo życie w zegarze zamiera, gdy wstrzymać sekundę choć jedną zegara wahadło. Wciąż naprzód i dalej czas pędzi, na chwilę nie stanie choć krótką.

Tik - tak. Tik - tak.

Nie można zatrzymać na chwilę w powietrzu, ni cofnąć do nieba deszczowej maleńkiej kropelki, co skałę wydrąży i kruszy przez pracę swą długą i ciągłą, — ni wichru, co łamie gałęzie i drzewo z korzeniem wyrwa, — ni kamienia rzuconego do morza. Wahnienie zegara przebrzmiało. I kropla deszczowa już poszła do ziemi. Już drzewo zmarło. Już kamień padł na dno.

Nie można do życia powrócić wyrwanej i zeschniętej rośliny, ni mrozem zniszczonej zieleni, ni róży zerwanej z róż krzaku. Bo już się tak stało. Wahnienie zegara przebrzmiało. Do życia z powrotem już cofnąć nie można, co zmarło.

Nie można zatrzymać ni szalu kochania, ni serc nienawiści, gdy w słowo się żywe ubrało. Ni ręki miłośniczo podanej, co w górę do nieba bliźniego podniosła, lub w przepaść mogiły szydlerczy zepchnęła, — już

cofnąć nie można. Ni słowa miłości, co duszę rozgrzało, ni słowa, co jadem - trucizną bez myśli, bez serca z ust padło. Bo już się tak stało. Już w serce zapadło. Ni wstrzymać, ni cofnąć, choć z żalem, — nie można. Wahnienie zegara przebrzmiało... i życia wskazówki zegara — zatrzymać, ni cofnąć nie można.

Tik - tak. Tik - tak.

Wahadło zegara raz w lewo raz w prawo się waha, czas ciągle odmierza, że minął, nie wróci — wciąż szepce cichutko. Choć nieraz za szczęściem przebrzmiałem, choć nieraz — za męką i bólem, że przeszły i nigdy nie wrócą, łza błysnie w oku żałośnie. Że nic już odrobić, co przedtem się stało, — na lepsze dla siebie i innych odmienić nie można. Ni serca do bicia przywrócić, co bić zgodnie z naszym przed chwilą przestało.

Tik - tak. Tik - tak.

Wahadło zegara raz w lewo, raz w prawo się ciągle obraca, wskazówki życiowe wciąż dalej posuwa... Już chwila uśmiechu, już chwila męczarni do życia przeszłego odeszła... Bo już się tak stało. Wahnienie zegara przebrzmiało.

Tik - tak. Tik - tak. Tik - tak.

To przeszłość. Znów przeszłość. Znów przeszłość.

A jaka?

Patrz w duszę. Ukochałam pracę, młodzież i dzieci... Co dalej... Cóż mi teraz zostało... na resztę dni życia mojego.

Tik - tak. Tik - tak.

Patrz w wieczność...

I popłynęły ze starych oczu Niełaskiej łzy wielkie,
bogate młodością, dziecięcą bezradną prostotą, bo du-
szę wciąż miała młodą, jak dawniej przed laty dawnymi,
dawnymi...

III.

Jak dzień jeden krótki, tak prędko minęły wakacje. I dzieci wróciły do szkoły z radością, bo tylu kolegów tam czeka, bo życie w gromadzie jest w szkole, a także i nowych zdobyczy nieznanymi ciekawymi na lekcjach moc wielka co serca, umysły dziecięce pociąga nowością.

Nielaskiej wśród dzieci już niema. I w mieście też niema jej jeszcze. Została z swą dalszą rodziną gdzieś na wsi na jakiś czas jeszcze, by przetrwać te chwile najgorsze w jej życiu, bo — niczem i nikim już nie jest, nikomu już nie jest potrzebna — po wielu dziesiątkach lat życia swojego. Jak ciężką jest dla niej ta myśl.

Wróciła nareszcie do siebie, do domu swojego, w ostatnich dniach września. Bo wrócić tu przecie musiała na pewien czas choćby.

Wróciła do domu swojego, do czterech ścian pustych w mieszkaniu, gdzie nikt jej nie czekał ni z sercem radosnem, ni z pracą mozolną i twardą. A w całym

mieszkańcu na meblach, na książkach, zeszytach kurz jeden grubo osiadł, rozłożył się dumnie na wszystkim i szare jej życie od teraz — na szaro bogato przystroił. Po kątach pajęczyn wysnutych w spokoju bez przeszkód sieć koronkowa misternie się snuje i stroi jej dom w różne wzory wspaniałe, splątane. Czy sieć ta wraz z kurzem zasnuje i ją też niedługo... Nie. Tak nie można. Usunąć potrzeba szarżyznę z mieszkania. Dni parę więc razem z Janową na pracy spędziły i znowu w mieszkaniu porządnie i dobrze. Czy dobrze naprawdę? Tak szare te dni jednostajne jesienne. Tak mało już słońca i światła. A wieczór tak długi okropnie. A noce bez końca. A wichry za oknem, w kominie tak jęczą i łkają żałośnie. I w duszy tak szaro i mroczno na myśl, że już wiosna życiowa radosny znój życia — lecz pełen nadziei na jutro — odeszła na zawsze.

A potem śnieg ubrał wszystko na białe i zatarł bez śladu najmniejszy znak życia swą białą śniegową zasłoną. Na polach się ciemnią szkielety drzew czarnych zmartwiałych — bez życia. A w mieście od zimna, od mrozu skurczyło się życie w mieszkaniach zamkniętych na głucho; na szybach okiennych wyrosły jedynie lodowe dziwaczne zygzaki i drzewa i kwiaty zimowe tak różne, tak piękne niekiedy w swych blaskach słonecznych. A dzień znowu krótszy. Wieczory i noce — bez końca...

Niełaska zamknięta w mieszkaniu, bo wyjść z domu gdziekolwiek nie chciała, — dlaczego — któż może odgadnąć dziwactwa starości, dopóki sam starym nie

będzie — tak trwała dnie całe, wieczory i noce bezsenne w samotni. I z sobą jedyne a długie rozmowy wciąż wiodła.

Aż nadszedł dzień chmurny, zimowy, co z nieba na ziemię na drzewa, na domy i ludzi śnieg sypie miętki, puszysty bez końca, by zatrzeć, zasypać najmniejszy ślad życia pod sobą. Niełaska przez okno z mieszkania na ogród patrzyła, na piękne, choć groźne przejawy natury.

Wtem nagle bez żadnej przyczyny — poczuła pragnienie gwałtowne przyjrzenia się zbliżka tym cudom natury. Ubrała się ciepło w najlepsze ubranie i wyszła.

Idzie Niełaska ulicą i dziwi się ciągle wszystkiemu, co widzi przed sobą. Tak pięknie tu wszędzie. Tak biało i czysto. Ulice tak równe i białe. I w parku śnieg przykrył kwietniki i krzaki i drzewa, jak puchem srebrzystym. Zadługo już w domu siedziała. Dziś wszystko obejrzyć zamierza. Więc idzie przed siebie wciąż dalej, aż wreszcie wychodzi za miasto. Bo tutaj nic już nie będzie zasłaniać widoku na bezmiar szeroki i równy. Tu posłać można daleko swe oczy i myśl utrapioną w samotni domowej tak długiej.

— Ach, żeby tak można nie wrócić już wcale do domu, do ciężkiej samotni. — Z westchnieniem do siebie cichutko przemawia. — Niestety powrócić tam trzeba. Tam przecie jej dom...

— Ale dzisiaj nie prędko do domu powrócę. — Znów mówi do siebie już głośno, bo niema nikogo na drodze. — Dziś muszę użyć rozkoszy, spaceru za cały ten czas.

I idzie przed siebie po drodze i śmieje się tylko, jak dziecko rozkoszne. Śnieg sypie jej w oczy, wiatr smaga po twarzy, bo stał się pod wieczór silniejszy. To nic. Tak jej dobrze tu dzisiaj. Więc idzie przed siebie i idzie w dal białą i czystą i kroku przyśpiesza, by zejść jaknajdalej od miasta, od domu swojego.

Zmęczyła się wreszcie tym długim spacerem na stare jej lata. Stała na chwilę na drodze. Odwróciła swą głowę do miasta. Już ledwie je widać. To nic. Odpocznie chwileczkę i wróci. Ale jeszcze kawałek przed siebie przejść musi. Coś naprzód ją gna dzisiaj mocno, że oprzeć się temu nie można. Więc dalej przed siebie, gdzie miasta już niema... zupełnie... ni ludzi...

Lecz nogi ustały. Tak trudno krok stąpić przed siebie. A tutaj tak pięknie, spokojnie, zacisznie na sercu. Popatrzeć chce jeszcze troszeczkę. Za wszystkie te czasy nacieszyć. Więc siada pod drzewem przy drodze, by oprzeć swe plecy i ciało zmęczone.

— Jak piękny ten świat! Gdzie spojrzeć — cud nowy przed nami. Jak cudne są płatki śniegowe, co w ręce wpadają, na nogi się kładą, na oczach, na ustach topnieją. Gwiazdeczki maleńkie, o sześciu ramionach jest każda. A wszystkie są różne, choć sobie podobne. A wszystko przez Boga stworzone. O, Boże! Tyś Wielki! Bądź wola Twoja.

I modlić się chce tu pod niebem stalowem wysokiem Niełaska. Bóg tutaj wysłucha jej prośby i da jej odmianę i cel jakiś nowy na stare jej lata. Bo dłużej, jak dotąd, żyć już nie może. Więc mówi modlitwy do Boga i prosi, jak dziecko, z ufnością i z wiarą, że dzisiaj Bóg

prośby wysłucha i zmieni jej życie. Tak. To być musi. I dzisiaj koniecznie. Bo już jest jej w duszy spokojniej. A w serce zaczyna się wkradać powoli rozkosznie uczucie błogości tak wielkiej, że usta w modlitwie zamilkły i stały się nieme. Ach, jak jej dziś dobrze. Schyliła się głowa na piersi... A dusza w zachwycie, że prośba nie będzie napróżna...

Śnieg pada gęstemi płatami. Zmierzch siny już pada na ziemię. A ona pod drzewem przy drodze — zacięła zupełnie...

Padają niebieskie gwiazdeczki na ziemię, na nogi, na ręce, na głowę Niełaskiej. I grzeją zziębnięte jej ciało... i serce, aż uśmiech na ustach wykwita i trwa bez końca...

Padają niebieskie płateczki na ziemię, na głowę Niełaskiej... Pokryły swą bielą puszystą już całą... Już wcale nie widać kobiety. Już śpi tam pod śniegiem spokojnie... Już stare jej oczy nie płaczą... Już stare jej serce nie boli. — Już dusza udręki się zbyła, że jest niepotrzebna na ziemi nikomu...

DOMEK Z KART.

I.

— Czy też on wyżyje? Jak siostra myśli? — zapytał posługacz szpitalny siostry Krystyny, która siedziała na krześle przy łóżku chorego, wpatrzona ze smutnem zamyśleniem na twarzy na leżącego mężczyznę w pełni sił jeszcze, można powiedzieć — młodego, bo wyglądał zaledwie na lat trzydzieści kilka. Tylko twarz niegolona przez dni kilka postarzała chorego. I brwi namarszczone i, dwie zmarszczki wsdułz czoła posępnie osiadłe rzeźbiły mu twarz tak, jak życie je rzeźbi i starość. A z oczu chorego nic wyczytać nie można. Bo zamknięte snem sztucznym przez środki nasenne i ciężką chorobę. A może świadomie zamknięte przez ból, taki własny, jedyny i ciężki, a jeszcze cięższy, że każdy przeżywać go musi samotnie, bo choć obok nas tylu ludzi przechodzi i bliskich i dalszych, nieznanym i znanych, lecz wszyscy dalecy okropnie, tem bardziej dalecy, im więcej nas boli ta rana wewnętrzna, lub rana otwarta. I ludzie się śpieszą, by rany bolesne zamykać nietylko opaską, bandażem je chroniąc przed okiem bakteryj z powietrza, lecz także przed okiem drugiego człowieka. Bo cóżcudzą rana dłań znaczy...

— Może wyżyje — odpowiada mu siostra Krystyna. — Tylko dbać o chorego musimy ogromnie. — To ciężka choroba.

— A co mu być może? Leży już u nas dni parę i nic. Przez sen tylko stęknie czasami.

— Pan doktor przypuszcza, że ma on chorobę mózgową. Zapalenie. Bo wszystko poza tem w porządku. I płuca i serce i kiszki. Musimy pilnować chorego, to może przetrzyma chorobę.

— To ciężka choroba — choroba mózgową. Już byłem przy takim. Nie wytrzymał. I poszedł se człowiek, jak nic.

— Nic nie wiadomo, Wojciechu! Jak Pan Bóg zarządzi, tak będzie. Jeżeli już wszystko tu w życiu odrobił, to zwolni go Pan Bóg z tej ziemi. Jeżeli nie skończył tu swojej roboty dla siebie i ludzi, nie spełnił zadania, co mu Pan Bóg powierzył, to musi być zdrow i żyć jeszcze długo. Tak jak wy, mój Wojciechu, nie rzucicie roboty, którą macie w szpitalu odrobić, nie pójdziecie na spacer, zabawę, bo trzeba pracować, bo trzeba żyć z czegoś, coś robić. I aktor na scenie nie rzuci swej roli przed końcem. I człowiek tak samo do końca grać musi swą rolę, co mu Pan Bóg powierzył.

— Dobrze siostra mówi. Mnie się samemu też kiedyś zdawało, jak to mnie z ojcowizny tak gładko wykwitował mój brat, że niema poco już żyć. Nic nie dbałem o siebie. Tak mi ciężko na sercu bywało. Bo przecie to swój — bliski, mój brat. Aż wpadłem w chorobę. Ale wylazłem. I żyję. Widocznie jeszcze na coś na świecie się przydam. A jak tu w szpitalu lat tyle napatrzy-

łem się na innych nieszczęścia i biedy te, kalectwa przeróżne, to widzę, że moja jeszcze była najmniejsza.

— Macie rację, Wojciechu. Przecie uczyć nas czytać — musi taki, co sam się zna na tem. A leczyć nas musi ten znowu, co to umie, nie każdy. Nawet buty szyc może nie każdy. A każdyby chciał być najmądrzejszy, o życiu stanowić, o losie rozstrzygać, nieszczęście i szczęście oceniać. Rozporządzać tu na tej ziemi człowiekiem i życiem — może Bóg jeden, jak ojciec swemi dziećmi zarządza.

— Oj tak, tak. Święta prawda — potakuje Wojciech.

— Ja idę. I wy idźcie także do innych. Roboty jest dużo. Ale zaglądajcie i tutaj od czasu do czasu. Będziemy ratować chorego. A ile to szczęścia przynosi nam myśl, gdy powiedzieć możemy — sobie samym jedynie — nie innym — „pomogłem uratować od śmierci lub zguby drugiego” — ten tylko nie wie, co nigdy tego nie zrobił, — dorzuciła pół-szeptem już wychodząc z pokoju siostra Krystyna.

Wojciech sprzątnął w pokoju chorego, poustawił lekarstwa na stoliku przy łóżku, popatrzył przez chwilę na ogród przez okno, bo przecie to ogród i ziemia, z którą lat tyle się żył i tak mocno... I poszedł do innych sal szpitalnych do pracy swej dalej.

A chory w sen pogrążony bez marzeń, bez snów śpi dalej w pokoju samotny. Ktoś drugi wśród snów i marzenia — niepotrzebny zupełnie.

— Co ze mną się dzieje? Gdzie jestem? Czy mówił kto do mnie o latach dziecięcych, co dawno minęły.

A potem o latach ubiegłych dojrzałych, co teraz przeżywam... Kto starość przed oczy mi stawił, choć do niej tak jeszcze daleko... szepce chory do siebie samego, gdy oczy zaspane otworzył i spojrzał dokoła.

— W pokoju jest cicho i ciemno. Tam w kącie czerwone światelko się świeci i ledwie cokolwiek ciemności rozsiewa. I pusto. I niema nikogo. On leży na łóżku. A obok na małym stoliku tak pełno szklaneczek, flaszeczek aptecznych. I głowa tak ciężka, że podnieść ją trudno, bo zaraz zpowrotem opada. I usiąść nie można, bo taki brak sił. W pokoju jest pusto. Krzeselko przy łóżku jedynie. Nad łóżkiem krzyż ciemny na ścianie białej i jasnej.

— Gdzie jestem? Co ze mną się dzieje? Ten pokój tak dziwny. Nie mój to jest dom. Gdzie syn mój jedyny...

— Na krześle ktoś siedzi, choć przedtem nie było nikogo. Nikt przecie nie wchodził. Ktoś taki mu znany. Gdzieś widział go w życiu. Lecz któż to być może...

— Ma oczy stalowe i duże. Brwi gęste, zmarszczone. I czoło wysokie. I jasne ma włosy. Wąs długi i bujny. A pod nim w uśmiechu skrzywione ma usta. A może to z bólu. On widział go kiedyś... Lecz kiedy i gdzie...

A oczy te patrzą i patrzą tak mocno, aż boli ten wzrok. I w duszę mu patrzą... I wszystko czytają wyraźnie... Aż strasznie się robi tam w sercu, co bije na trwożę — napróżno... I uciechy chciał on przed gościem tym dziwnym. Nie może, bo on nie pozwoli stąd wyjść.

Kto w duszę zaglądać mu może bezkarnie? Kto

życie i winy wczorajsze i dawne w niej czytać ośmielić się mógł? Nie wolno nikomu dotykać tych ran. On sam tylko może te rany bolesne odnowa przeżywać i sądzić. Nikt więcej...

— Kto jesteś? — zawołał on z całych swych sił. Jak śmiesz w duszę patrzeć zamkniętą dla wszystkich? Ja nie znam cię wcale. Ty odejdz stąd prędko.

— Czy nie znasz mnie wcale, Henryku, że witasz tak wrogo? Szeroko otwieraj swe oczy. Wy tężaj swą pamięć i myśl. Patrz w przeszłość daleką, daleką... Te oczy — to twoje. Ten uśmiech — też twój... Poznajesz? Henryku! Ja — tobą wszak jestem...

— Co znaczą te słowa? Czy znowu męczący spadł sen?

— O, nie. To nie jest twój sen. Ja jestem twój duch. Posłuchaj. Jak czasem tak znana ci woda być płynną przestaje, a gazem wciąż nie jest, — tak bywa czasami w warunkach niezwykłych, — tak teraz jest z tobą. Ty stoisz obecnie na drogach rozstajnych, boś chory i ciężko. Czy w życie powrócisz, czy śmierci ulegniesz, wciąż jeszcze się waży twój los. I dzisiaj, w tej chwili, co nie jest już życiem dla ciebie, a śmiercią się jeszcze nie stała, — Bóg wielki pozwolił, być w przeszłość twą całą i całe twe życie, zasłoną dla żywych zakryte, w niepamięć spowite, — mógł spojrzeć, — by mówił do ciebie twój duch...

— Więc ty jesteś mój duch? Ale jaki? Nic pojąć nie mogę.

— Poczekaj. Zrozumiesz za chwilę. Dziś w siebie całego, na całe twe życie ty spojrzysz. Lecz „dzisiaj”

to twoje, to drobny jedynie ułamek całości. Ty patrz w siebie pilnie. I w duszy swej czytaj uważnie i jasno, czem jesteś, czem chciałeś ty być i czegoś poniechał bezmyślnie. Czy idziesz ty w górę, czy padasz ty wdół. Co myślą przewodnią w tem życiu twem jest. Więc czytaj w twej duszy i patrzaj w tve życie obecne i w całą twą pełnię duchową z prawieków. A wtedy na siebie, na ludzi, na życie inaczej spoglądać już będziesz. I inną już wartość i cenę nadawać ty zaczniesz — nieszczęściu i szczęściu, — i dobru i złu. A wielkie się w małe zamieni. A małe wielkością się stanie...

— Jeżeli ty jesteś mój duch, to powiedz, co z synem się stało? Dlaczego on umarł, nie żyje? Nic więcej mnie dziś nie obchodzi...

— Zaczekaj. Nie zaraz ci powiem. O tobie mam mówić i z tobą. Więc słuchaj. Od wieków ty żyjesz. I żyć będziesz wieków miljony. A jakie to życie tve było i jakie jest dzisiaj, ty sam to stanowisz. I przyszłe tve życie, tve „jutro” — budujesz ty sam. Choć nie wiesz nic o tem, bo — wiedzieć nic nie chcesz. Boś pamięć zatracił o wszystkim, co było. I jaźnią świadomą ty w księgi przyszłości nie sięgasz. Tak wrosłeś w to życie obecne na ziemi. W niepamięć puściłeś — dla ziemi, — coś kiedyś zamierzał. W niepamięć też poszły nauki ci dane dla dobra twojego i dobra wszechświata, co jedność stanowi, — dla ziemi, — dla „dzisiaj”... I nie chcesz odróżniać kąkołu od ziarna...

— Tak często żyje człowiek tu, jak żyje chwast szkodliwy, co niszczy, głuszy kwiatów życie, a potem siebie niszczy też.

— Choć z jednej gleby, w jednym miejscu soki ciągną, — chwast sobie miły pokarm bierze, a dzwonek polny, bratek leśny i stokrotka innej znowu strawy szuka w tejże glebie. Zboża wątłe źdźbło, kąkolu barwny kwiat — na jednym miejscu rosną, — lecz nie są braćmi sobie choć jednej matki dzieci. Jedno bierze z ziemi — matki — piękna, dobra życie. Truciznę z ziemi ciągnie drugie i w sobie ją urabia.

— I dusze ludzkie różnie czerpią z jednego skarbcza świata. Wybiera jedna dusza z życia jad jedynie i siebie truje jadem, ludzi braci swych trucizną swoją truje i wdół ich ciągnie czarny. A znowu dusza inna — czerpie z życia, czasem z bagna, błota — piękno dobra, światło nieba i ludziom nieść je pragnie. A ludzki tłum to światło gasić chce... A ludzki tłum — odpycha je ze wstrętem... Bo oczy ślepną im... Bo silne światło niesie ból...

I różnie dusze ludzkie biorą z życia swego. Jednego — małe szczęście ziemi w dzikie zwierzę zmienia. Nieszczęście, wielki ból — znów innym duszę budzi, małe bożki ziemi niszczy i obala, nimb świętości niesie z sobą. Choć jednej matki dzieci, dzieci ziemi, — różny pokarm biorą. Choć wszystkie dusze — z ducha swój początek mają, tak mało ducha noszą w sobie...

— I mija życie ludzkie blade, nikłe, jak nikły cień pod zachód słońca, — bez wielkiej zbrodni, bez ofiary małej dla drugiego, w pogoni — za zerami...

— Co bogiem twym? Drewniany koń. I perły, złoto, wielkie Nic, — przewaga nad zerami... To szczę-

ście twe. To bogi twe. A ducha, serca, myśli zmrok...
I „jutra” czarna noc...

— Ty jesteś teraz więcej czem? Ni kroku
wprzód. Ni żaden serca nowy ton. Ni ducha wyższy
wzlot. Ty w siebie patrz. Wyteżaj wzrok. Wyteżaj
słuch. Jak bije serce twe dla ludzi, Boga? Czy może
bić przestało już...

— Mówiłem wciąż do ciebie przedtem, bom za-
wsze razem z tobą. Jak jasnych, dziwnych przeczuć
głos, — mówiłem wciąż... Mówiłem wciąż i dzisiaj zno-
wu mówię... Lecz cóż... Sumienia cichy szept — jar-
marczny głuszy zgiełk i rozum twój, a także dumna jaźń
mój cichy głos wciąż tłumi...

— Mówiłem ci o matce, żeś ją oddał — dla twej
żony... A potem znów — dla syna — tyś poniechał żo-
ny, bo wiele błędów miała... Lecz dziecku — matkę ty
zabrałeś... I nikt ci nie był już potrzebny, ani przyjacieli
jeden, boś syna miał dla siebie... Przez syna swego nie
widziałeś nigdzie — ani ludzi, — ani Boga...

— Zostałeś teraz sam, bez syna jesteś dziś, sa-
motny tu na ziemi. I teraz nie masz go, boś w synu
swym samego siebie kochał tylko, ubóstwiał swoje „ja”
jedynie... Boś kochał ziemi syna w nim i ziemię... A te-
raz szukać będziesz — syna — w niebie, a przez swego
syna — szukać będziesz — Boga...

II.

Spał długo Iwirski snem sztucznym pod wpływem dawanych mu środków nasennych. Czasami się zbudził na krótko, dostawał lekarstwa i pokarm i znowu zasypiał. Powoli powracać mu zaczął i sen naturalny. I chory z dniem każdym wciąż szybciej powracał do zdrowia i sił.

— Już teraz jest dobrze, mój Panie. — Odezwał się lekarz szpitalny do niego podczas rannej wizytacji swych chorych. — Bo dotąd unikał rozmowy z swym chorym i innym zalecał milczenie. Ale nie wiedziałem, gdy Pana tu do nas przewieźli, czy uda się Pana utrzymać przy życiu. Teraz już jestem spokojny o Pana.

— Doktorze. Skąd ja się tu wziąłem w szpitalu?

— Z hotelu. Przywieźli nam Pana w gorączce, całkiem nieprzytomnego. Bo nie wiedziano w hotelu do kogo się zwrócić, co z Panem tam robić. I ja tutaj z początku nic wiedzieć nie mogłem, ani jaka przyczyna choroby, ani jak Pana leczyć. Byłem niepewny, co będzie. Ale potem powoli poszło już dobrze z kuracją.

Silny organizm najwięcej tu pomógł. Ale wiele Pan musisz zawdzięczać, żeś zdrowie tak prędko odzyskał specjalnej opiece siostry Krystyny, która nad Panem serdecznie czuwała. A ona, czasami chorego na nogi postawić potrafi, choć niema nadziei już żadnej. Leczy go ona spojrzeniem kojącem, anielskiem, dotknięciem rąk swoich świętych; w cierpieniach choremu choć ulgę przyniesie, jeżeli już więcej nie może. Że żyjesz Pan jeszcze i żyć będziesz długo, boś silny, jej masz Pan dziękować.

— Nie mam jej za co dziękować — odpowiada Iwirski po chwili. — Bo wolałbym nie żyć.

— Dlaczegoż, mój Panie?

— Straciłem jedyne syna, jedyny cel mego życia. I nic mnie już z życiem nie wiąże. Uciekłem przed ludźmi, przed bólem, przed szałem rozpaczony po stracie tragicznej tu do Warszawy. I z życia też uciecbym chciał.

— O, Panie Iwirski. To nie jest tak łatwo. Nie wtedy uciekać od życia pozwolą, gdy nam się podoba.

— Nie, Panie Doktorze. Ja długo nie mogę tak żyć. Z rozpaczą w mem sercu. Ja siebie zamęcę tym bólem.

— Nie, Panie szanowny. Ból długo pozostać nie może, bo człowiek sił nie ma na to. I z czasem przyjąć musi spokój. I przyjdzie. Niech mi Pan wierzy. Mam doświadczenie i własne i cudzych tak wiele...

— Doktorze. Ja nie dam rady. To krzywda zbyt wielka.

— Niech mi Pan wierzy, Panie Iwirski. Spokój przyjść musi. Bo śmiać się rozkosznie i pusto latami całymi — nie można. Ni płakać rozpacznie bez końca — nie w ludzkiej jest mocy. A pomoc przyniesie znów siostra Krystyna. Bo ona zapewne już wie, że coś Pana boli i mocno tam w sercu złamanem. Dlatego Cię wzięła w opiekę specjalną i wie, co Ci ulgę przyniesie. Bo ona nie bada, nie pyta, lecz patrzy jedynie do duszy człowieka i czyta — ta święta kobieta.

— A skądże się wzięła w niej świętość tak wielka? — z ironją na ustach i w głosie zapytał Iwirski lekarza. — Czy życie jej szczęścia aż tyle przyniosło, że innym rozdawać je pragnie?

— Nie, Panie Iwirski. Nikt szczęścia swojego rozdawać nie pragnie, gdy ma go choć trochę czasami, bo wtedy ma zawsze za mało dla siebie samego i jeszcze go szuka dla siebie jedynie. Nikt chleba nie poda drugiemu, jeżeli sam głodu — i głodu strasznego — nie zaznał.

— Więc cóż ją do tego nakłania, by innym nieść ulgę w cierpieniach?

— Panie Iwirski. Nikt życia bez bólu, bez strat nie przeżyje. Nikogo nie minie. Coś życie zabierze. Nie można mieć — wszystko. Ja miałem dwóch synów. I obu straciłem — na wojnie. I żyję. Kochałem ich nie mniej, niż Pan. Żyjemy wraz z żoną samotni już teraz, bo dzieci już więcej nie mamy. Lecz jeszcze została nam praca — dla ludzi. I Pan żyć będziesz tak samo a może i długo, choć syna straciłeś. Odnajdziesz

Pan może coś więcej... Bo życie nietylko zabiera nam wszystko, lecz także i daje, co dla nas potrzeba... Jako lekarz, dam Panu przykład. A więc. Gdy człowiek oślepie, wzrok straci, to noc go ogarnia tak straszna, że zanic mu życie już dalsze. Lecz wkrótce przychodzi mu w pomoc słuch delikatny i dotyk subtelny i go dzić zaczyna go z życiem. Bo widzi on wtedy — przez palce i uszy. I widzi on więcej niekiedy, niż ten, co ma oczy otwarte i zdrowe. On widzi w człowieku i radość i smutek, bo widzi je uchem i duszą wrażliwą. On widzi i drzewa i kwiaty w ogrodzie i w polu. I chmury na niebie on widzi. Bo słońca promienie do ręki on bierze.

— Tak, Panie Iwirski — mówi znów dalej po chwili milczenia. Tracimy majątek, bogactwo, — lecz wzamian coś jeszcze droższego, bogactwo nieznane nam dotąd, — przynosi nam życie niekiedy. Czasami tracimy i zdrowie i siły, — a wtedy nierzadko duch silny i wola na miarę nieznaną nam dotąd, na miarę nadludzką chwilami — wciąż rosną z dnia na dzień. A wyższe to siły człowieka, niż tamte stracone. Czasami tracimy, co było nam szczęściem i życiem i światem jedynym, a życie wraz z bólem bezmiernym znów niesie coś dla nas nowego, wyższego, co zginąć, co umrzeć nie może i czego już nigdy i nikt nam odebrać nie może...

— Dosyć na dzisiaj. I tak mi się wzięło za dużo na gadanie. Idę dalej do chorych. A Pan niech pomyśli, co teraz mówiłem. Do jutra.

Popatrzył na Henryka Iwirskiego przez chwilę, lecz jakoś inaczej niż dotąd, jakby pierwszy raz w życiu go widział. A oczy czarne na twarzy jasnej, pogodnej, pokrytej przedwczesną siwizną na głowie, patrzyły poważnie, głęboko i z myślą o drugim człowieku, o życiu. Na ustach mu zawisł uśmiech cudowny, choć smutny — dobrego człowieka — tak miękki i cichy, jak cisza świąteczna pod wieczór, gdy słońce ostatnie promienie na ziemię posyła przed nocą po dniu pracowitym.

— Jaki dziwny ten człowiek, — myśli Henryk po wyjściu lekarza z pokoju. On stracił dwóch synów na wojnie. I tyle pogody ma w sobie ten człowiek... I tyle dobroci przemawia mu z oczu... Cóż on odnalazł po stracie... Coś chyba wielkiego...

I myśli i szuka, jak pytanie rozwiązać. A słońce kojące i ciepłe promienie przez okno otwarte przesyła choremu. I kwiaty swój zapach z ogrodu, co ledwie wyczuwać się daje. I ptaki coś mówią przez okno, świergocą, śpiewają choremu. I drzewa tak cicho mu szumią i szumią, myśl chorą kołyszą łagodnie.

On biegnie swą myślą za życiem w ogrodzie. I dalej za ogród — do miasta. I dalej — za miasto — do lasów i pól... Myśl błądzi, tu owdzie zagląda i patrzy i słucha... I biegnie znów dalej, powraca i znowu ucieka... I szuka, wciąż szuka mozolnie jakiegoś oparcia trwalszego, na dłużej... Aż wreszcie gdzieś ginie bez śladu...

W nieznaną świadomość myśl przeszła i tam po-

została na chwilę, by szukać w tym skarbcu tajemnym,
nieznanym... By znowu do życia się zrodzić, do myśli
świadomej powrócić już w pełni, jak motyl z poczwarki
— wyfrunąć na świat...

III.

— Przyszedłem po Pana. Bo już na tarasie na słońcu ulokowaliśmy wszystkich ciężiej chorych. A teraz kolej na innych, takich jak Pan — odezwał się Wojciech, który wszedł do pokoju Iwirskiego.

— Nie mam chęci, Wojciechu, iść na taras. Najlepiej mi tutaj.

— Dlaczego?

— Tam tyle ludzi. A dla mnie najlepszy jest spokój samotny, jak tutaj w pokoju.

— To trudno. Nie może Pan zostać w pokoju, bo nie wolno. Pan Doktor powiada, że wszyscy na słońce iść muszą, bo słońce z człowieka wyciąga choroby i ciała i duszy. To lekarz najlepszy, — powiada Pan Doktor, — światło i ciepło słoneczne.

— Widzicie Wojciechu, mnie sam widok tylu ludzi rozdrażnia.

— To niech Pan nie patrzy na ludzi. Niech Pan patrzy na rzekę, na miasto, na niebo. A dzisiaj tak ciepło i ładnie na dworze. A najlepiej, niech zamknie Pan

oczy i na nic nie patrzy, a wdycha powietrze i ciepło. To tak jest rozkosznie na słońcu — podczas upału i żaru, jak z pieca. Człowiekowi się zdaje, że ręką ni nogą nie może poruszyć. A nieprawda, bo potem, to jakby odrodził się w sobie, tyle sił czuje w sobie. Taki mocny jest potem. Ja wiem o tem dobrze po sobie. W upały na polu, jak dzisiaj naprzykład, tak piecze i pali okropnie. A niech tylko człowiek poleży troszeczkę, a zaraz sił mu przybędzie tak dużo, że znowu robota mu idzie, jak nic, jak zabawa najlepsza.

— To wy ze wsi, Wojciechu?

— A jakże.

— A skądże się Wojciech wziął tutaj w szpitalu? Nie lepiej to było u siebie, niż w mieście?

— Ba, pewno, że lepiej. Kiedy wyszło inaczej. Do wojska mnie wzięli, a potem na wojnę. Jak z wojska wróciłem, a byłem raniony; w szpitalu wojskowym dość długo leżałem, — to ojciec już nie żył; a ziemię i wszystko, co było po ojcu przepisał na siebie mój brat. Zmartwiłem się, zgryzłem okropnie tem wszystkiem, bo szkoda i ziemi i kęta własnego. Znow wpadłem w chorobę na długo ze zgryzot i z biedy, ale nic już poradzić nie mogłem. Pienędzy nie miałem na sądy, na sprawy. I tak już zostało. A potem dostałem się tutaj przez siostrę Krystynę. Pracuję i mam z czego żyć. Szkoda mi tylko, że kęta własnego już nie mam. I także że brata już nie mam. Ale — trudno. Inaczej nie może już być. Jakoś do śmierci dożyję, choć tak mi czasami wieś pachnie, jak chleb świeży z pieca wyjęty, szczególnie, gdy lato nadejdzie. Bo w zimie to jeszcze. Ale innym, jak

tu się napatrzę, dużo, dużo gorzej, niż mnie. To jakos pcham dalej i żyję. Mam spokojne sumienie. Nie skrzywdziłem nikogo. A krzywda człowieka — nie tuczy. Ale chodźmy na taras. Zaprowadzę tam Pana, wynajdę jakie miejsce wygodne dla Pana najdalej od ludzi, jeżeli Pan chce.

Gdy przyszli na taras szpitalny, Wojciech dał Iwirskiemu leżak zaraz przy brzegu tarasu, skąd widok na miasto i rzekę piękny. Mógł być Iwirski w tem miejscu samotny, jak chciał, mógł z nikim nie mówić, bo leżaki dość rzadko tu stały.

— O, tutaj będzie dobrze dla Pana — mówi Wojciech do niego. — Niedaleko, coprawda chłopaczek tu leży, gazeciarz, któremu samochód połamał kilka żeber i rękę. Ale on jest cichutki. Nie zacznie rozmowy. A szkoda chłopaka. Nie ma ojca, ni matki. Tylko jeden na świecie. Sam siebie chowa i żywi. A mieszkać nigdzie nie musi. Pod mostem, czy w parku na ławce się prześpi. Oj, szkoda chłopaka. Ale trudno. — A tam dalej troszczkę, — zadaleko, by można rozmawiać, — na fotelu ten stary — to ma drugą nogę obciętą. Na sklerozę jest chory. Dwa lata temu obcięto mu jedną, z gangreny, — a teraz znów drugą obcięto. Operację wytrzymał, choć niebardzo był pewny, bo serce już słabe. Pożyje z parę lat jeszcze. A nie chciał umierać. Przychodzi tu córka do niego, nauczycielka. Ma jeszcze dwóch synów podobno, nie tutaj, gdzieś dalej od Warszawy. Ale dotąd nie pokazał się żaden. Bo żal mają do ojca, że kiedy przed wojną miał stary pieniądze, duże kapitały jakoby, ale nie dał żadnemu nic z tego. Po

śmierci dopiero miał zostawić, bo nie chciał być u dzieci na łasce. Po wojnie stracił wszystko. I jest teraz u córki, choć ona ma sama niewiele, bo dużo zarobi kobieta. I samej jej ciężko. A tu jeszcze ten ojciec kaleka zupełna. — A ta, co z tamtej strony na leżaku leży, — też do rozmowy nieskora. — I daleko stąd zresztą — suchotnica w ostatnich miesiącach, a może tygodniach. Żle z nią zupełnie, a chce żyć okropnie — dla dzieci. To wdowa. A dzieci są teraz w ochronce, bo niema nikogo z rodziny, coby dzieci do siebie przyjęli. A zresztą rodzina nieskora do wzięcia do siebie biednego krewnego. Przychodzą tu czasem te dzieci. Dwóch chłopców i córka. Nienajgorsze i grzeczne te dzieci. A potem, jak pójdą stąd od niej, to płacze tak strasznie, że patrzeć jest przykro. — Oj, wiele tu biedy, nieszczęścia napatrzyć się można. Inaczej stąd życie wygląda, niż tam na ulicy i w mieście, czy na wsi.

Opowiada znów dalej choremu o chorych posługacz szpitalny, bo tyle przewinie się biedy przez sale szpitalne. A Wojciech jest ludzki i lubi rozmowę prowadzić, gdy czasu ma trochę wolnego. Lecz Henryk Iwirski nie słyszy już wcale. Bo taki się czuje zmęczony. Tyle przeżyć i przejść ciężkich własnych przewaliło się przezeń i duszę mu całkiem na strzępy porwało. A teraz choroba do reszty zwała go z nóg.

Zostawił swą pracę, dom pusty, gdzie tylko służąca została, i uciekł od bólu. A ból poszedł za nim... Tam dziwią się pewno, dlaczego nie wraca, co stało się z nim. Bodajby już nigdy nie wracać do domu tamtego, do końca już życia całego. Tak wiele zmusiło go życie

w tym domu przecierpieć, że strasznie mu jest — na myśl o powrocie — znów tam...

Tam matka po krótkiej chorobie umarła. Być może z wyrzutem dla syna odeszła, że starej kobiety nie bronił... Tam żonę pożegnał, lecz jakże inaczej, niż matkę... Odeszła na jego żądanie, by syna uchronić przed wpływem obłudy i kłamstwa, przed wpływem kobiety, co mało ludzkiego uczucia w swej duszy nosiła.

Ach, jakże się łamał latami długimi, jak walczył syn z mężem i z ojcem, przemawiał raz — jeden, raz — drugi w tem sercu jedynem. Raz ojciec przemawiał i mąż, to syn dla swej matki brał górę nad tamtym. I walka ta długa i ciężka przez lata w nim trwała, choć widział głupotę bez granic swej żony, choć nieraz mógł stwierdzić złość niską, bezmyślną dla starej kobiety, co życie kończyła przez swoją synową, przez ból ponad siły, zgryzoty... Lecz nie dał już rady, gdy syna przed ojcem zaczęła ta żona nauczać do kłamstwa, oszustwa niskiego...

— Niech dziecko ulica wychowa, — powiedział jej wtedy, — a gorszem nie będzie. I może on będzie, gdy kiedyś dorośnie, swą matkę szanować. Ty odejść stąd musisz... Odeszła. I żyje do dzisiaj. A syn... Ach, jakież potwory wśród kobiet bywają! Choć brak jest mężczyznom serc w piersiach, to jednak nie mają tam małych kamieni trujących dla ludzi.

Lecz znowu — świętości, pierwiastka boskiego tam — w sercu uczciwem kobiety — jedynie widzimy czasami — tak wiele...

Ta siostra Krystyna... Czy tyle obłudy i kłamstwa

ma w duszy i świętą udaje... Czy tyle świętości naprawdę tam nosi, że wierzyć aż trudno...

Z nią jedną o stracie i bólu serdecznym, o duszy rozbitej na strzępki... romawiaćby mógł...

A oto nadeszła na taras. Przyjrzała się chorym, jak siły i zdrowie na słońcu zbierają. Każdemu posłała słów parę serdecznych lub choćby spojrzenie siostrzane lub uśmiech matczyzny, jak dzieciom swym własnym.

A oczy Henryka wciąż za nią chodziły z pytaniem, z podziwem, — skąd wzięła się taka kobieta, co ciepło promienne swej duszy dokoła rozsiewa tak hojnie...

Czy może w człowieku tak wielka być dusza... Tak wszystkim jednako oddana... I dzieciom, i starym, i biednym, nędzarzom, tułaczom bez domu, rodziny, co tutaj na chwilę znaleźli najlepszy swój dom...

— Kto jesteś? — w swej myśli ją pyta.

A ona na końcu tarasu, daleko od niego, na Wisłę spogląda, jak niesie swe wody wciąż dalej i dalej. A dokąd? — Gdzie każą. Do morza. — A z morza? — Gdzie każą. Do nieba. — A z nieba? — Gdzie każą. Na ziemię. — A z ziemi? — Gdzie każą. Do rzeki i morza i nieba...

Hej, rzeko! Hej, Wisło! Pracujesz bez przerwy przez lata i wieki, jak rzek tyle w świecie. I niesiesz swe wody wciąż naprzód spokojnie, bez szemrań i żalów, że taki jest nakaz dla rzeki. I wody twe płyną, jak myśli człowieka, od świtu do zmierzchu, raz wolniej, raz szybciej, wciąż naprzód i w pracy codziennej i szarej, bez chwili wytchnienia, spoczynku.

Czasami zapalasz ty gniewem i buntem. I kąsas

i gryziesz i szarpiesz, jak człowiek w swym gniewie swą odzież rozdziera, — zalewasz, pochłaniasz, co spotkasz na drodze w twym gniewie i buncie.

Lecz płytka, wciąż płytsza twa woda, im dalej od brzegu odchodzi na ziemię, im większy twój gniew.

Bunt rzeki nie może trwać wiecznie, bo rzekę on zmiecie z powierzchni, bo zginie w nim rzeka. I znowu ty wtedy powracasz do pracy codziennej i szarej. Bo taki jest nakaz i takie jest prawo dla rzeki i życia. Bo gniew cię osłabia, pomniejsza, a bunt ci przynosi zniszczenie i zgon...

— Pan pytać chciał o coś? — odzywa się siostra Krystyna za chwilę. — Co Panu potrzeba? Czy może znów gorzej jest dzisiaj?

— Niech siostra usiądzie na chwilę. Tak chciałbym z kimś dobrym, do kogo mam ufność i wiarę, choć trochę rozmowy. To ulgę-by dało... Tak ciężko mi, strasznie mi czasem, że chyba z tarasu tam wdół na kamienie, do wody się rzucić... O, siostrzo Krystyno. Ja nie mam już sił walczyć z sobą i z bólem... Czy jesteś tu Siostrą z imienia i nazwy jedynie? Czy siostrą naprawdę dla wszystkich... Ty słowo swe dobre mi podaj, bo w duszy mej rozpacz i bunt...

— Tu wszyscy mi bliscy, mój Panie, bo wszystkim ja jestem potrzebna. Czy silna ma ręka, bo usiąść na chwilę by chcieli. Czy dobre me słowo siostrzane, co w bólu przyniesie im ulgę. A wtedy ja lepszą się staję, gdy widzę, że innym potrzebna. I niema gorszego nieszczęścia, gdy człowiek sam chodzi po świecie, samotny, jak w puszczy zwierz dziki, bo wszyscy mu tacy

dalecy, nikomu nic z siły, nic z serca swojego on nie da, nikomu on nie jest potrzebny... Jak puste i ciężkie ma życie on wtedy. Bez bliskich mu ludzi, bez braci, bez sióstr... A ja tu mam ciągle tak wielką rodzinę. — Lecz jakże odbiegłam daleko. Pan mówić chciał ze mną — o sobie. Więc proszę. Ja słucham, jak siostra najlepsza.

— O, gdybym ja siostrę miał taką. Lecz moja jest inna, zwyczajna i prosta — i taka daleka...

— Nie żałuj, mój Panie, że siostrą ja Twoją nie jestem. Bo może bym więcej przyniosła ci bólu i męki, niż myślisz...

I głowę swą białą do ziemi spuściła, a oczy zamknęła na chwilę. Twarz blada i biała, jak głowa jej cała w siostrzanem ubraniu. A usta coś szepczą w rozmowie ze sobą.

Iwirski żałował, że może niezręcznem pytaniem poruszył boleśnie, co spało spokojnie w tej duszy anioła.

— Pan mówić chciał ze mną. A o czym? O synu swym pewno — po chwili odzywa się siostra.

— Tak, siostrzo. Tak boli mnie ciężka ta strata. Już nie mam nikogo na świecie, bo matkę już lat parę temu straciłem. A ojca, gdym dzieckiem był jeszcze. A siostry tak prawie, jak nie mam. A teraz straciłem i syna.

— A żona?

— A żona odeszła odemnie już dawno — na moje żądanie...

— Dlaczego? Dlaczegoś odebrał synowi najbliższe mu serce matczyne?

— Bo serca nie miała ni dla mnie, ni nawet dla dziecka własnego. Tam serce okryło się tłuszczem, i w tłuszczu zginęło, a mięso zabiło jej duszę, jeżeli ją kiedyś — zamłodu choć — miała...

— Nie moje to prawo was sądzić. A przecie niedobrze się stało. Któż syna Ci chował, mój Panie?

— Ja — sam. Oddałem się cały synowi. Oddałem mu cały czas wolny i wszystkie me siły. Oddałem i serce mu całe i z nikim już serca ja dzielić nie chciałem. On — światem jedynym i całym był dla mnie. A teraz mi runął ten świat... w nieznaną gdzieś otchłań, skąd niema powrotu... To straszne.

— A Bóg nic Ci nie mówi, mój Panie?

— Bóg? Czyż może on istnieć, gdy krzywdy tak straszne się dzieją tu ludziom na świecie? O, siostró. Nie wierzę ja — w Boga...

— Poczekaj, mój Panie, z swym sądem w rozpaczy. Bo jasnym być wtedy sąd nigdy nie może — o niczem, cóż mówić — o Bogu... W spokoju swe wnioski i sądy wydawać należy — na ludzi, cóż mówić — o Bogu... Opowiedz mi Panie, jak syna straciłeś? I w jakich warunkach nieszczęście to przyszło do Ciebie?

— Tak było. Siostró Krystyno, posłuchaj.

— Mieszkaliśmy w domu w ogrodzie za miastem. Syn chodził do szkoły i uczył się dobrze. Kupiłem mu flower, gdy do trzeciej klasy już przeszedł, bo prosił mnie o to okropnie i długo. Jak on się cieszył tym swoim flowerem. Strzelaliśmy razem w ogrodzie przy domu. Nauczył się prędko mój Kazio obchodzić z flowerem ostrożnie.

— Raz jeden, a było to w czwartek o piątej, wyszedłem na miasto. Do Kazia zaś przyszedł kolega. Odebrać im chciałem ten flower nieszczęsny i schować. Lecz tak mnie prosili serdecznie. Zostali więc razem z flowerem, by strzelać w ogrodzie. Strzelali do celu spokojnie, ostrożnie obchodząc się z bronią. Pozostał im jeden już nabój i Kazio koledze go oddał. Lecz tamten nie umiał tak trafić do celu, jak Kazio. Więc prosi po chwili kolegę:

Daj flower. Ja trafię w sam środek. A tobie nie uda się pewno.

— Ja nie dam, bo do mnie należy ten strzał.

— Daj flower. Ja strzelę i trafię. Bo szkoda naboju. To nabój ostatni.

— Ja nie dam. Bo do mnie należy ten nabój i strzał.

Zaczęły się targi a potem i kłótnia dziecinna w gorączce. Mój Kazio wykrzyknął:

— Ja nie dam ci strzelać. Spudłujesz.

I w oczy garść piasku mu rzucił, by przez to przeszkodzić w strzelaniu. A tamten, choć ledwie mógł patrzeć, floweru nie oddał, lecz w złości skierował do Kazia. I strzelił. I trafił go w twarz. Gdy wytarł swe oczy od piasku i łez, to zobaczył, — że Kazio na ziemi — i płacze jak dziecko... Za chwilę już cicho... Nie słysząc już płaczu, ni jęku... Mój Kazio już nie żył... A tamten poleciał do domu, zawołał służącą. A potem zaś widząc, że z Kaziem jest źle, — ze strachu gdzieś uciekł daleko i tułał się długo, nim wrócił do domu swojego...

Służąca wysłała sąsiadów na miasto, by szukać

lekarzy i mnie. Napróżno. Pomocy nie trzeba już było...
Bo syn mój już nie żył...

Co dalej? Ja nie wiem. Wiem tyle, że syna już nie mam. Choć widzę go ciągle przed sobą, jak leży... I oko, zalane krwią dziecka mojego wciąż na mnie spogląda... I drugie ze łzami dziecięcia mojego do ojca się skarży... na ból i na krzywdę...

— Siostró Krystyno! Dlaczego Bóg zabrał to dziecko niewinne tak wczesnie? Dla kogo i naco potrzebna dziecięca ofiara? A ja byłem lepszy przez niego... A teraz bunt straszny jest we mnie za krzywdę tak wielką. Z rozpacz i z bólu, jak zwierzę, co dziecko swe traci — złość straszna, nieludzka w me serce wstąpiła — do wszystkich... do ludzi, do Boga... Jam stracił przez syna — i Boga już teraz.

Nic więcej nie mówi Iwirski. Lecz głowę zbolałą opuścił i wtulił w swe ręce. Bo znowu przeżywa śmierć syna. Czy płacze? Czy łez mu zabrakło już może? Pozostał mu może jęk duszy jedynie — tak wielki w tej chwili... tak cichy, że słyszeć go może niekażdy...

A siostra — ma oczy wpatrzone daleko, wysoko, aż w niebo. I słucha, choć nikt nie mówi do siostry — tuż obok, lecz mówi ktoś do niej zdaleka... bez słów...

Po chwili, — jak ciężka ta chwila, — swym głosem spokojnym, łagodnym, jak matka do dziecka, przemawiać zaczęła do ojca biednego.

— Bóg zabrał to dziecko przedwcześnie. Dlaczego? Nie nam odpowiadać, dlaczego tak zrobił. A może tak będzie najlepiej dla ojca, dla matki, dla syna... Bóg różne rozdaje nam próby i czeka, co zbudzą nam w du-

szy... A może się zbudzi sumienie matczyne, a razem z tem serce kobiety, gdy wieść smutna przyjdzie, że syn jej nie żyje, że syna — naprawdę już nie ma... Bo trumny czasami też mówić umieją. A głos ich — potęgą nieznaną i straszną niekiedy — latami rozbrzmiewa.

A może Ty, biedny ojczy, też z czasem przestaniesz, gdy ból świeży minie, — dokoła na ziemi go szukać. I szukać go będziesz aż w niebie — u Boga... Bóg bliższym się stanie dla Ciebie. Bo teraz On — strasznie daleki, choć usta Twe mówią czasami o Bogu... Lecz mówią dziś z buntem, nie z wiarą...

— I syn przeszedł mękę, choć krótką, — nad siły dziecięce. Bo dziecko to przecie. I sił mu brak jeszcze. Ten ciężar fizyczny, ta męka serdeczna, co dla nas dorosłych jest niczem, — dla dziecka się staje ciężarem nad miarę i siły. On zrobił już swoją robotę — i wielką i ciężką. A my jeszcze strasznie dalecy — do końca tej pracy, co nam naznaczona...

— Przyjmujemy z ufnością i wiarą, co niebo nam zsyła, czy będzie to dobre, czy złe według myśli człowieka. Nie nam sądzić jednak, co dobrem, co krzywdą jest dla nas. A rozum człowieka i mądrość — tak małe, gdy myślą sięgniemy — do nieba... do słońca, — do gwiazd niezliczonych na niebie, którei Bóg Wielki rządzi... najlepiej...

Mówiła, jak matka do syna, chcąc uczyć go życia. Iwirski jej w oczy spogląda i słucha w skupieniu, co mówi do niego. Tak mówi ta siostra inaczej, niż to, co mu bliscy dotychczas mówili. I słucha jej mowy z

uwagą, z napięciem, choć mówić już głośno przestała, bo wie, że przemawia jej serce siostrzane, co pomoc, współczucie w cierpieniu chce przynieść choremu, że mówi jej serce — nie usta...

Dość długo milczenie to trwało. I dobrze. Są bowiem chwile, że więcej milcząca obecność drugiego człowieka, co dla nas uczucia choć trochę i myśli przyjaznej ma w sobie, nam ulgi przyniesie, niż słów puste dźwięki niekiedy. I większą nam pomoc dać może moc oczu spojrzenia człowieka, niż słowo bez siły, bez myśli wspólnoty.

Lecz wreszcie do wspólnej rozmowy w milczeniu słów kilka ciepłych dorzucić chce siostra Krystyna. Więc mówi do niego:

— Gdy byłam dziewczynką młodziutką, — ach, jakże już dawno to było, — kiedyś sen miałam tak dziwny, że dotąd w pamięci mej został. I dawniej i teraz tak często wspominać go muszę. Więc dzisiaj opowiem i Panu ten sen. Śniło mi się raz kiedyś, że stoję w dzień letni, słoneczny w ogrodzie przed krzakiem róż białych, pachnących. Nie widać na krzaku ni liści zielonych, ni ciemnych gałązek różanych lecz róże kwitnące, dojrzałe jedynie i pąki róż młodych, co wkrótce już dojrzeć powinny.

I cały ten krzak, jak jeden biały róży kwiat — do słońca swą głowę podnosi miłośnie. A słońca promienie na róże się kładą i z krzakiem igrają, aż drga coś w powietrzu rozkosznie. I zapach różany tak mocno upaja, że szept modlitewny na ustach się zjawia w podzięce dla Boga, — bo tyle stąd piękna — z tych róż białych,

młodych do duszy mej idzie... Tak piękny ten kwiat...
Tak cudny ten świat...

Za chwilę spadł z krzaku różany płateczek na ziemię. A po nim — spadł drugi i trzeci. — Na ziemi pod krzakiem się bielą. Na krzaku ich brak.

— I znowu spadł płatek na ziemię. I znowu spadł drugi. Już tyle ich spadło na ziemię. Lecz więcej ich jeszcze zostało na krzaku...

— Lecz znowu spadają różane płateczki, jak śnieg... Na krzaku tak mało już róż... Zostało ich kilka zaledwie... Jak chronić te róże ostatnie przed zgubą, — ja nie wiem. I stoję bezradna przed krzakiem róż biednych, co zginą za chwilę tak samo, jak tamte... A może zostanie na krzaku — choć parę przy życiu...

— I lecą powoli, raz po raz na ziemię różane płateczki... Została już jedna, jedyna, ostatnia. Czy zginąć ma również i ta wraz z innymi... Czy sama zostanie na krzaku... Ogarnia mnie lęk taki straszny o życie tej róży jedynej, ostatniej.

— Opadły za chwilę śniegowe płateczki różane na ziemię — i z róży ostatniej. Zginęła i róża ostatnia, jedyna, co inne przeżyła... i niema na krzaku już róż, co przedtem tak świetny miał strój... Gałęzie i ciernie zostały... I liście zielone jedyną ozdobą mu są.

— Pod krzakiem odartym z róż białych — na ziemi — różane płateczki się bielą wspomnieniem po różach, co żyły przed chwilą... Płateczki śniegowe pod krzakiem — za chwilę też giną... Już ziemia pod krzakiem się czerni jedynie... I niema po różach już nawet wspomnienia...

— Łzy z oczu spadają i wielkie i ciężkie, ze smutku nabrzmiałe a serce tak mocno na trwogę uderza w mych piersiach, jak dzwon... Tak żal biednych róż, co żyły przed chwilą... I chwytą płacz wielki serdeczny, że piękne te róże tak prędko i marnie zginęły bez śladu, bez celu żadnego... Że niema już róż...

— Zbudziłam się ze snu. Twarz mokra od łez. A ja widzę jeszcze na jawie — rozkwitły i bujny krzak róż. I widzę wciąż jeszcze, jak z krzaku na ziemię te róże spadają... Jak niema ich już...

— Co znaczy ten sen, — tak myślę ja wtedy. I teraz niekiedy też pytam tak samo... Czy sen to, czy jakaś nieznaną mi mowa — przez kwiaty... Bo życie tak niszczy najdroższe nam kwiaty, co były radością i szczęściem największym człowieka... zacierają najmniejszy ślad po nich, a nawet wspomnienie młodości i marzeń kwiat cudny...

— Cóż, Panie Iwirski, powie Pan o tym moim śnie? — po chwili milczenia zapytuje go siostra Krystyna.

— Nic, siostrze. Chyba tyle, że sen ten jest piękny, lecz smutny okropnie zarazem.

— Tak jest, Panie Iwirski. Sen ten jest piękny i smutny zarazem. To prawda. Czy był Pan kiedy w górach? I chodził Pan na wycieczki?

— Nie, siostrze. Nie byłem nigdy w górach.

— To szkoda. A był Pan nad morzem,

— Nie. I nad morzem nie byłem.

To szkoda tak samo. Bo ziemię — i życie również — oglądać trzeba z przeróżnych stron. A nie

z jednej strony jedynie. Inaczej nie mamy i mieć nie możemy — względnie naturalnie — pełnego obrazu. Pełnego obrazu — rzecz prosta — nigdy mieć nie możemy. Ale, jeżeli tylko można, trzeba ten obraz, czy to na ziemię, czy to na życie, powiększać, rozszerzać jak najbardziej. Bo bez tego, to tak, jakbyśmy naprzykład oglądali dom, w którym mieszkamy od wielu, wielu lat, z jednej jedynie strony, dajmy na to, zawsze tylko od frontu, a nigdy od strony podwórza. Otóż ja byłam i w górach i nad morzem. Chodziłam na szczyty gór, długie godziny spędzałam nad brzegiem północnych i południowych mórz. Więc powiem Panu, co wtedy odczuwałam. Po wejściu na szczyt górski w pierwszej chwili byłam pełna dumy i zadowolenia nadzwyczajnego, że mogłam oglądać przepiękne i rozległe widoki, położone tam wdole u moich stóp. Lecz po krótkim oszłomieniu i zachwycie, który w pierwszej chwili moje piersi rozpierał, opanowywał mnie straszny smutek. Bo widziałam u mych stóp wsie i miasteczka, rzeki płynące i lasy zielone. Lecz wszystko takie maleńkie, jak dziecinne zabawki. A ludzie? Jak maleńkie punkciki ledwie widoczne i ledwie posuwające się naprzód przed siebie. Cóż ja znaczę, — myślałam sobie wtedy. To i ja jestem tak samo jednym z tych prawie niewidocznych punkcików. A dokoła nagie i groźne szczyty gór, skamieniałe w milczeniu podniebnem. Nad głową zawoła czasami samotnie ptak górski... Biały obłok przepływnie niekiedy podemną, zasłoni i lasy, i rzeki i miasta i ludzi. Jak cudnie, wspaniale jest wtedy. Lecz jakże jest smutnie w samotni na szczytach...

A teraz znów idźmy nad morze. Oczy bieżną, gdzie morze spotyka się z niebem, i dziwią się temu, że morze tak małe. Lecz woddali przesuwają się statek a ledwie go widać, choć gmachem olbrzymim jest przecie. Gdzieś łódka daleko od brzegu na morzu za ledwie porusza się naprzód. A w łódce są ludzie. Wiem o tem, lecz tego nie widzę. A fale wciąż bieżną bez przerwy do brzegu spokojnie lub gniewnie, na brzegu się kończy ich trwanie i życie. Za temi, co przysły przed chwilą, znów nowe tu idą i szumem o sobie znać dają. I idą i płyną godzinę, dzień cały i wiek. I szumią i mówią o sobie, o życiu, o ruchu i pracy, o Bogu od chwili, gdy morze powstało od chwili, jak długo trwać będzie na ziemi. Szum morza jednaki — wciąż inny ma głos i inną ma mowę. A barwa wciąż jedna, a przecie wciąż zmienna, to pyszni się siłą stalową, to mieni się w tęczę opali, to znowu w fiolet poważny się zmienia lub krwawą purpurą okrywa. Cudowna, wspaniała jest mowa wiekowa fal morza. A jakaż głęboka i jaka jest smutna zarazem ta mowa... bez końca, początku...

— Panie Iwirski. Gdzie piękno wspaniałe, tam smutek być musi. Weźmy choćby nasze zachody słońca, nasze jesienie, pełne niezwykłego uroku i piękna. Czy nigdy nie odczuwał Pan razem z podziwem dla zachodzącego słońca lub nadchodzącej jesieni, która w nieprzebranej pełni barw ogłasza nam, że życie zamierać zaczyna, — uczucia niezglębionego, nieukojonego — zdawałoby się — smutku?

— Tak jest, Siostrze. Zachód słońca lub jesień

zawsze robi na mnie dziwne wrażenie. I jedno i drugie jest piękne i smutne, to prawda.

— A teraz powrócę do mojego snu, który Panu przed chwilą opowiedziałam, bo i sama tak często do niego powracam. Bo sen mój był dla mnie w pierwszej chwili tylko snem dziwnym. A potem z latami, z różnemi przejściami, których nam życie nie skąpi, zaczęłam innemi oczami spoglądać na sen mój. Podobnie do tego, jak to czasami ma miejsce z przeczytaną przez nas książką przed laty, którą potem kiedyś weźmiemy z powrotem do ręki. Czytał Pan kiedy jaką książkę parę razy w odstępach kilkoletnich?

— Owszem. Czytałem czasami.

— I jakież Pan wtedy wynosił wrażenie?

Miałem wtedy wrażenie, jakbym czytał coś całkiem nowego lub ledwo znanego. I dziwiłem się sobie samemu a nieraz i śmiałem się z siebie, gdym patrzył na zrobione przez siebie przed laty dawnemi podkreślenia zdań różnych, uwagi, notatki. Tak. Ja byłem inny i książka też była inną przed laty, choć przecie ta sama. Tak. Inne oczy ma człowiek za młodu, znów inne po latach. Tak inaczej te oczy patrzą przed siebie i różnie tak widzą zależnie od tego, czy są one dziecka małego oczami, czy chłopca młodego, czy też są już te oczy dojrzałe lub stare zupełnie. A jak różne te oczy, przez które nasza dusza się brata i łączy z całego świata duszą, przekonałem się kiedyś — że tak powiem — na własne moje oczy. A było to lat kilka temu, gdym się wybrał do teatru na sztukę, którą kiedyś widziałem za lat swoich młodych, będąc jeszcze uczniem jednej ze

starszych klas gimnazjalnych. Wtedy, gdym pierwszy raz sztukę tę widział na scenie, byłem wprost zachwycony samą sztuką i grą artystów i dekoracjami. A potem siedziałem znudzony nawet ledwie dotrwałem do końca przedstawienia, bo z przykrością ogromną stwierdziłem, jak daleko odbiegłem od siebie, od lat moich młodych, jak inaczej dziś patrzę na rzeczy.

— A widzi Pan, Panie Iwirski. Dlatego właśnie powtarzam, że kiedyś na sen mój lekką jedynie uwagę zwróciłam, a potem z latami nieraz długo o nim myślałam. Opowiem Panu jeszcze jedno zdarzenie z mojego życia, które — zdawałoby się — było niezbyt wielkiej wagi a jednak wywarło na mnie silne wrażenie a nawet i pewien wpływ na zmianę w mojem postępowaniu z różnymi ludźmi.

— Było to dawno. Lat temu tak wiele, że zliczyć je trudno. Tak dawno to było, że czasem się zdaje, że może to bajka, a może to sen...

— Byłam już wtedy mężatką. Mieszkaliśmy z mężem i dziećmi naszymi, to znaczy z mą córką i z synem w majątku we dworze ogromnym na kresach. Bo byłam ja kiedyś bogatą i Panią na wielu folwarkach. Największą radością, uciechą bywało, gdym konia dosiadła i na nim pędziła bez tchu i naoslep — przed siebie wciąż dalej i prędzej jak strzała. A wiatr smagał w oczy, rozwiewał mi włosy na głowie, do uszu piosenkę stepową żalostną z kurhanów mi niósł...

— A czasem chór wielki, olbrzymi, potężny, z tysięcy złożony nieznanymi mi głosów tych wszystkich, co padli tu w bojach wiekowych o ziemię i wolność, do

nieba się wznosił, do serc ludzkich trafiał, aż dziwnie i trwożnie się w duszy robiło i pytał:

Czy lepiej już teraz na ziemi... Czy lepszym już człowiek się stał...

Czy niema już walk bratobójczych o ziemię, o chwałę, o ziarno na chleb...

Czy wszyscy już braćmi się stali dla siebie...

Czy dziecko każdemu już rękę małą bez lęku i trwogi podaje, bo każdy mu ojcem i matką chce być... Bo każdy już czystym w swem sercu, jak dziecko, się stał...

O, kiedyż nadejdzie ten dzień...

Już ofiar tak wiele złożono...

— Daleko raz byłam od domu. I sama. Nie wzięłam ze sobą nikogo. Na niebie zebrały się chmury i błyskać zaczęło.

— To nic, — pomyślałam — nie pierwszy raz przecie ja sama wśród burzy i deszczu do domu powracam.

Już słońce dopiero co zaszło. Na niebie skłębiły się chmury tak gęste i czarne, że noc ogarnęła i niebo i ziemię. Ja jadę przed siebie, nie widząc przed sobą już nic, instynktem przyjaznym zwierzęcia mojego wiedziona.

— Lecz wkrótce zaczęło się błyskać wciąż więcej i więcej, aż niebo gorzało, paliło się całe — tam w górach. Aż strach było patrzeć na ogień bez końca, na niebo w płomieniach czerwonych.

— A błyskom bez przerwy grzmot ciągly i grożny

wtórował i grzmiał, jakby koniec już świata zwiastował, — aż ziemia od grzmotów tych drżała lękliwie.

— I wichur szalony za chwilę ze wszystkich stron nadbiegł, rwąc drzewa z korzeniem i niosąc przed siebie w zniszczeniu, rwąc ziemi i piasku tumany do góry, znów bijąc tą ziemią — o ziemię, jak w gniewie, co szalu jest pełen.

— A potem ulewa, jak furja, ze złością i siłą nieznaną mi dotąd na ziemię runęła, jak rzek tysiąc z nieba z wodami bez dna i bez miary.

— Ni tchu złapać w piersi nie można w noc straszną i ciemną, bo wichur zpowrotem go włacza do piersi i chwyta za gardło i dusi. Ni jechać przed siebie, ni stanąć na miejscu, bo wichur o ziemię obala, a woda wraz z ziemią zatapia i mnie razem z koniem.

— Koń pada i znowu się zrywa do góry. I jakby oszalał od jasnych błyskawic, od grzmotów, piorunów, co biją tuż obok. Na ziemię mnie zrzuca w tej walce z żywiołem nieznanym mu dotąd w swej sile i grozie. I pędzi przed siebie, coraz upadając na ziemię, w noc czarną i jasną i w ogień niebieski, przez wichur i grozę pędzony, smagany przez strach przed zagładą, przed zgubą.

— Ja — sama zostałam — na ziemi i w błocie...

— I tulę się mocno do ziemi, do błota, bo wichur podrywa i znowu obala. I ledwie już słucham piorunów, jak grmią i jak biją raz po raz i w drzewa wyrwane z korzeniem i w ziemię zgnębną.

— A wichur tak jęczy i szlocha rozpacznie...

Deszcz płacze i łka w wielkim żalu i leje łez morze — na ziemię...

— Oślepla, ogłuchła i prawie zduszona ja ginę w tem błocie tu sama, daleko od domu i dzieci...

— O, Boże! Jak Wielki, jak straszny Ty jesteś. Dla dzieci mych proszę i błagam o życie — ja mała, ja Nic wobec Ciebie, o Boże!

Jak długo ja w błocie i wodzie leżałam, coraz przewracana przez wichry. Jak długo deszcz smagał do bólu i płakał zarazem nademną żałością. Jak długo pioruny nieznane mi dotąd w swej sile moc Boga głosiły na ziemi. Jak długo ja z Bogiem mówiłam w swej myśli i sercu zalęknęłam. Ja nie wiem...

— Wróciłam do domu nad ranem, gdy świt szary spływać zaczynał na ziemię. Lecz inna do domu już przyszłam. Inaczej już biło me serce. Bo straszną potęgę widziałam. Bo śmierć zimna w oczy patrzyła, zasłoniętą życiową z mych oczu zdejmując na chwilę.

— Płakały me dzieci wraz z ojcem — z radości, że matka wróciła a już za straconą ją mieli. Płakały me oczy i dusza płakała ze smutku, z radości, że — w niebo na chwilę spojrziała...

— A koń mój nie wrócił. Padł w polu, zabity piorunem w noc straszną.

I odtąd odmiana się jakaś zaczęła w mej duszy. Ja szukać zaczęłam wciąż czegoś dokoła... „To nie tak, jak jest, być powinno... To nie to... Lecz co...” ja pytałam.

— W podziękę za życie mi dane, za matkę mym

dzieciom — zaczęłam budować szpitale dla chorych, ochronki dla sierot bez matek, by życie im lżejszem uczynić, by wyszli z nich ludzie najlepsi. I wszystkim śpieszyłam z pomocą, ratując od chorób i śmierci i chleba im niosąc dostatek i dobre me słowo — dla duszy.

— A w pole znów często jeździłam, czy sama, czy z dziećmi mojemu. I klękać im w polu kazałam i mówić modlitwę. I prosić tu Boga o dobro dla wszystkich. Bo tu — Bóg najbliżej... Bo tu — Bóg jest Wielki.

Znajomi zaś moi i męża, a także lud wiejski — nie mogli zrozumieć tej pracy ni serca dla ludzi, ni tego, że w polu jest kościół największy. Orzekli, że wielki wstrząs przeszłam, że nie wiem, co robię i poco... Że chore mam nerwy... I tu jest odmiana w mem życiu...

— Ja na to im wszystkim — za całą odpowiedź — mój uśmiech dawałam jedynie. Bo dla mnie — był nowy mój duch. Bo dla mnie — był inny już świat... i życie też inne...

— A dla nich... Jak było spokojnie i cicho, bez burz, — tak jest, tak być musi — bez zmian... Lecz jak długo tak będzie...

— Skończyłam na teraz, Panie Iwirski. To była pierwsza burza, co przeszła nademną w mem życiu... A z czasem nadeszły i inne... tak ciężkie, bolesne, do zmysłów utraty — zdawać się mogło... Ale nie. Człowiek wiele wytrzyma. Bo musi. Bo trzeba widocznie. Gdy czas mi pozwoli, to przyjdę do Pana na dłuższą rozmowę — znów kiedy. Bo w życiu, mój Panie, jest dużo radości i śmiechu. Lecz cierpień i smutków na-

pewno niemniej dookoła. Tylko patrzeć na innych
cierpienia i smutki — nie chcemy... A szkoda...

I poszła od niego. A poco... Do pracy — dla
innych, — dla chorych...

IV.

Deszcz pada od rana. I puka do mieszkań przez szyby okienne i mówi coś długo i cicho, opowieść swą szarą on snuje... Uderza czasami przez szybę tak mocno i dźwięcznie, jak w szklane dzwoneczki zadzwoni... I cichnie deszcz znowu i miękko opada na szkło... I spływa poszybie okiennej kroplami wielkimi i brózdą ją znaczy jak twarz ludzką — łza ciężka, serdeczna...

Nie będzie deszcz padał bez końca. Przeszanie niedługo.

Zaświeci na nowo wam słońce i zdejmie zasłonę deszczową i szarą.

Po słońcu — znów księżyc zaświeci wam smutnie i blado.

A potem — coś przyjdzie nowego. Inaczej znów będzie na ziemi.

Nie będzie deszcz padał bez przerwy i wiecznie. Odmiana nadejdzie niedługo...

Iwirski w pokoju swym siedzi i w okno spogląda. I czeka na kogoś czy na coś. Coś przyjdź doń dziś mia-

ło — dobrego... Coś z ciszy duchowej, jakoby z zaświała... Lecz co to być mogło. Napróżno się pyta. I w okno spogląda i na drzwi... I czeka...

Wszedł lekarz. — To nie to — pomyślał Iwirski.

— Doktorze — po chwili go pyta. — Jak długo ja muszę tu zostać w szpitalu?

— Za kilka dni wolnym Pan może już być i od nas wyjechać do domu. Stan zdrowia Pańskiego już dobry.

— Doktorze. Czy mogę tu u was przedłużyć mój pobyt? Tak dobrze mi tutaj... Jeżeli mi dobrze być może gdziekolwiek... A domu swojego się boję.

— Dlaczegożby nie? Zostawać tu proszę, jak długo Pan może i zechce. Miejsc wolnych w szpitalu jest dosyć obecnie.

— Doktorze. Czy siostra Krystyna już dawno w szpitalu pracuje? Skąd wzięła się tutaj? Kto ona?

— Jak długo? Już z dziesięć lat pewno. A skąd się tu wzięła? Ze świata. Nic więcej powiedzieć nie mogę. Nazwiska jej nawet nie znamy. Nikt tutaj w szpitalu nazwiska jej nie zna. Wiem tyle, że z kresów pochodzi, gdzie straty poniosła ogromne. Podobno straciła tam córkę i syna przez bolszewizm rosyjski. Nikt nie wie dokładnie, jak było z tem wszystkim. Niechętnie pozwala zaglądać w swą przeszłość. Bo może zapomnieć chce o tem, co było. Choć wielkie majątki, powagę ogromną tam miała, tu siostrą Krystyną jest tylko, bez hołdów niepewnych dla bogactw, majątków. Lecz także bez ślepej zawiści dla tego, co miała, dla tego, czem była. Tu nic teraz nie ma i nie chce nic mieć,

bo zaraz rozdaje wśród biednych. A nawet nazwiska tu nie ma, by przez to tak samo uniknąć niechęci, zawiści.

— To dziwna, niezwykła kobieta — ta Siostra Krystyna. Pan Doktor miał rację, gdy mówił mi o niej tu kiedyś z tak wielkiem uznaniem.

— Nie, Panie. To mało. To święta kobieta. A kiedyś niechętnie ją tu do szpitala na siostrę wpuszczano. Bo bano się Pani.

— Lecz skąd, jaką drogą ona doszła do tego, czem jest teraz dla ludzi?

— Przez ogień życiowy i straszny. Mam takie wrażenie. I w sobie już przedtem musiała mieć iskrę pierwiastka boskiego świętego. Pan wie pewno o tem, że brylant jest węglem najczystszym w kryształach? I o tem tak samo, że węgiel zwyczajny, gdy przejdzie przez ogień żelaza płynnego pod wielkiem ciśnieniem zastyga w kryształy diamentów. A woda — na byle płomieniu się warzy, gotuje, lecz wodą jedynie zostaje... Czasami się ścina w przepiękne kryształy, gdy w zimie mróz ściśnie. Lecz krótka pociecha i krótkie ich życie.

— Tak. Tak. To prawda, Doktorze. A nigdy mi przedtem do głowy nie przyszła myśl taka, choć przecie to proste.

Otworzyły się drzwi do pokoju Iwirskiego. Stała w nich siostra Krystyna. Na widok tej szczupłej wyniosłej postaci, tej twarzy rzeźbionej przez życie, tych oczu niebieskich przybladłych a przez to tak miękkich a silnych swą mocą niezwykłą w spojrzeniu, tych ust bladych a mocno ściśniętych, więcej — na skutek tej dziwnej jasności i ciepła, co z duszy jej szły w stronę

ludzi — rozmowa zacichła. Nie. To urwała się tylko ich głośna rozmowa. Myśl ludzka, serc bicie mówiły do siebie i światu głosiły: „Czuwajcie. Tu wszedł Dobry Człowiek”. A z drugiej znów strony wołano Miłosierdzia głosem najwyższym: „Czuwajcie. Oto jest człowiek, co cierpi. Potrzykroć czuwajcie”.

Tak dobrze im było we troje w tem krótkim milczeniu. Lecz życie jest twarde. Co dobre, trwać długo nie może. I prędko odchodzi znów dalej do innych, by znowu za chwilę i tamtych porzucić dla dalszych, co także czekają na moment wytnienia.

— Kiedy siostra tu przyszła, to ja już odejdę do innych mych chorych — odzywa się Doktor. — Ale jeszcze muszę Siostrze powiedzieć, że nasz chory tak dobrze się czuje w szpitalu tu u nas, że pytał przed chwilą, czy mógłby czas jakiś pozostać w szpitalu. Naturalnie, że wobec małego przepełnienia szpitala obecnie chętnie się zgadzam na propozycję Pana Iwirskiego. Bo przez ten czas jeszcze wzmocni się Pan duchowo, jeżeli Panu Siostra zechce przyjść z pomocą. A Duch ożywia — ciało. Prawda, Siostrze?

— Ależ owszem. Bardzo dobrze Pan robi, że jeszcze zostaje tu trochę.

— Siostra ma teraz trochę czasu wolnego, to pewno porozmawia trochę z Panem. A ja niestety muszę dalej iść, choć chętnie pozostałbym tutaj.

— Tak jest. Zajrzałam tu właśnie dlatego, że jestem teraz wolniejsza. I jeżeli Panu nie przeszkodzi.

— Ależ siostrze. Będę tylko bardzo jej wdzięczny za każdą poświęconą mi chwilę — odpowiada jej śpiesz-

nie Iwirski. — I nie wiem, jak mam Siostrze dziękować za tyle dla mnie, zwyczajnego przechodnia poniekąd, serdecznej życzliwości.

— Nie dziękuj Pan wcale. A kiedyś oddaj to samo znów komu innemu. A teraz siadamy i albo Pan coś opowie albo ja Panu. Cóż Panu dogadzać dziś będzie?

— Wolałbym słuchać, niż mówić.

— Dobrze. Niech i tak będzie. Bo przecie z chorym, to trzeba jak z dzieckiem postępować. Więc opowiem Panu bajkę.

— Szkoda, że ja tej bajki posłuchać nie mogę — odzywa się Doktor. — Ale muszę iść dalej. Żegnam.

— Dowidzenia.

— Mam dzisiaj takie dziwne od rana uczucie, jakby mnie miało coś spotkać dobrego, czy złego, sam nie wiem. Nigdy tego nie miałem dotychczas — odzywa się pierwszy Iwirski do Siostry.

— Nie trzeba się temu wcale dziwić. Jest to tylko wysokie napięcie nerwowe, z którego Pan jeszcze nie wyszedł. A w takich właśnie stanach wyczuwa się wiele już naprzód, zanim nas coś spotkać może.

— A teraz opowiem Panu bajkę, czy sen, czy życia obrazek niewesoły. Niechaj Pan sobie nazwie jak chce.

Rok pierwszy wojny światowej przyniósł mi pierwszy grom, bo w ciągu jednego tygodnia po krótkiej zakaźnej chorobie umarł mój mąż. I wtedy ja sama zostałam jedyną opieką dla małych mych dzieci i starej mej matki. Najlepszy przyjaciel, jakiego ja w życiu swem miałam, stracony — i w chwili najgorszej. Jak wielki

ból przesłama z powodu tej straty, Bóg jeden wie. Lecz życie i wojna nie dały pogrążyć się w bólu. Bo praca nad całym majątkiem i praca trudniejsza, niż w czasach pokoju, wołała codzien — do mnie jednej.

Rok drugi tej wojny znów przyniósł obłożną i ciężką chorobę mej matki na długo, bo bezwład z powodu ataku do łóżka ją przykuł. Lecz nic to. Bo żyła. I do niej o radę, pociechę, gdy sama padała na duchu, iść mogłam zawsze. Rok minął, — już matki nie miałam. I wtedy dopiero, gdy matkę straciła, odczułam, a przez to pojęłam, co znaczy — matka. Ile uczucia, miłości, oddania, ofiary się mieści w tem sercu matczynem, co nigdy nie sędzi, ni kar nie wymierza, a wszystko wybaczy czy wielkie, czy małe, z uśmiechem lub łzą, co zawsze w obronie gotowa jest stanąć, gdy dziecko niesłusznie, czasami i słusznie ktoś krzywdzić zamierza, czy człowiek, czy Bóg. Bo matka nietylko przed ludźmi gotowa jest bronić swe dziecko i życie poświęcić w ofierze, lecz także — przed Bogiem przez całe swe życie a nawet po śmierci. I biedne te dzieci i biedni ci ludzie, co matek nie mają, co matek świętego wspomnienia przez życie swe całe do śmierci — w swych sercach nie noszą ze czcią.

Zaledwie tę stratę przeboleć zdołałam choć w części, znów przyszły na nas na ziemi kresowej — a życie stawiało jej zawsze trudniejsze zadania — te czasy okropne, gdy ferment wśród ludzi się rodzić zaczynał, rzucony złą ręką ślepoty, ciemnoty. Był to rok 1917, gdy carskie portrety po miastach palono, po wsiach zaś rzucono na strych, gdy w Rosji pod znakiem czerwonych sztandarów Wolności rozlegał się głos, gdy zjawił się na

wsi agitator bolszewicki z okrzykiem: „ziemi dla wszystkich do równego podziału, ziemi bez wykupu dla ludu, a Panom — śmierć”.

Ja jednak spokojnie w swą przyszłość patrzyłam. I nic nie zmieniałam w swem życiu. Jak dotąd, z pomocą i radą szłam wszędzie, niechętnych i wrogów nie widząc, bo widzieć nie chciałam, wśród starszych nie było ich nawet z początku. Boć dotąd przez tyle pokoleń dwór „panów” tak dobrze i zgodnie żył z ludem, co najpiękniejsze na świecie śpiewał piosenki, rozmowy w języku rusińskim z tym ludem prowadził, a nawet z nim mocniej związanym się czuł, niż z szarym tłumem szlachty zagonowej, bliskiej religją i krwią, bo stanowił poniekąd część rodziny we dworze — ten lud, który był tu u siebie na ziemi swej własnej.

Lecz gorączka wzrastała wraz z napływem urlopników żołnierskich dezertarów — w pierwszym rzędzie wśród wyrostków i kobiet, czarnobrewych tamtejszych, a potem pociągnęła i resztę dorosłych i starszych.

Już łuny pożarów tu owdzie dokoła wybuchać zaczęły. Już sądy nad Panem na „schodach” (wiecach) rozgrywać zaczęto z początku nieśmiało wobec Panów obecnych na „schodach” przez przymus, którzy żalów i skarg słuchać musieli na siebie samego. Lecz u mnie spokojnie wciąż było. Bo wszystko tu mieli już przedtem, od długich już lat, co życie poprawić im mogło. Tak myślałam ja wtedy.

A potem szły wieści złe jedna za drugą o dworach zburzonych, pogromach i rzeziach za Dnieprem lub bliżej. Tam porąbany siekierą. Gdzieś dalej przez pół znowu piłą przerznęty. Gdzieindziej kijami zabity, utopio-

ny we stawie. A czasem, gdy dobry Pan był, to wyrok wydany być musiał spełniony, lecz przedtem za niego lud klęcząc modlitwy do Boga odmawiał nabożne. A potem — mordował.

Mówiono mi wtedy, by ze wsi uciekać do miasta, ratować swe życie i dzieci. — Szesnaście lat miała już córka, a syn mój — dwanaście. Bo lud ten leniwy i senny, jak żywioł w huragan przejść może. Bo krew jego ze krwią tatarską zmieszana i przyjść mogą chwile, gdy zmysł niszczyciela, łupieżcy oślepi go całkiem. Bo „treba nam zemli, ne treba nam paniw”, „bo persze była paniw swoboda, a teper nasza swoboda” — wciąż głośniej wołają.

„Na miejscu zostanę” — mówiłam na wszystkie te rady. — „Ja z domu mych ojców uciekać nie będę. Sumienie mam czyste. I wierzę tym ludziom. A wiarę gdy stracę, — niech stracę i życie. Ja żywa czy martwa — w mym domu zostanę”.

I cóż?

Dzień każdy przynosił ze sobą coś złego. Z pod ziemi wyrastać zaczęła niechętnych i wrogów gromada i rosła z dniem każdym. Zawieszono ekonomów, karbowych, leśniczych; stróżom nocnym wzbroniono pilnować pałacu. Powoli pierzchała i służba domowa, co tyle lat życia wraz z nami przeżyła; od dziecka czasami. Do serca, rozumu tych ludzi przemawiać ja chciałam — na próżno. Jednego stąd chciwość wyгнаła, bo może z innymi tu przyjdzie rabować. Drugiego — znów pędził stąd strach przed sądami na „schodach” i na nich. Zwolniłam więc wszystkich, kto chciał. Zostało z mej

służby tak licznej dotychczas — ogrodnik już stary Iwan i młodsza cokolwiek od niego kucharka Ulana. Pięcioro nas było obecnie w tym domu olbrzymim piętrowym. Za kilka dni — było nas czworo zaledwie. Bo stara Ulana też poszła od nas, ze strachu przed zemstą i kulą — za wierną swą służbę — dla Pani.

Zostałam więc sama w pałacu wraz z córką i synem i starym Iwanem. Zamknęłam się w domu — i jeszcze czekałam odmiany w tych sercach i duszach. Uciekać nie mogłam. Już było za późno.

I z okien patrzyłam na lasy zielone i pola już puste i szare po żniwach, na stary kresowy szeroki gościniec, gdzie lipy olbrzymie, topole wysokie długimi rzędami po bokach pełniły swą straż. A w parku stuletnie modrzewie i dęby i sosny — olbrzymy a z nimi czeremchy i bzy zadziwione patrzyły dokoła, nawzajem pytały się siebie raz szeptem, by dziwnej powagi nie zmącić, raz głosem i szumem wzburzenia i żalu, — „co stało się z ludźmi na ziemi kresowej, dlaczego na siebie złe oczy i pięści ściśnięte przez dotąd nieznaną nienawiść podnoszą?” — Niektóre z nich przecie na kilka pokoleń patrzyły, jak zgodnie, bratersko z tym ludem tu żyły.

A razem z drzewami w tym parku olbrzymim i wody na stawach szumiały i inną, niż zwykle w dzień wiodły rozmowę, lub w noc księżycową — wpadały w sen martwej ciszy, zgniecione, przybite przez blaski księżycy srebrzyste zazwyczaj, a teraz żalobnie złowrogie.

To nic jeszcze. W dni parę zwała się fala z chat wiejskich do parku, do śpichrzów, do obór i stajen. Rabował z nich każdy, co mógł. Szły konie rasowe o noz-

drzach rozdętych, o oczach wylękłych ze drżeniem na widok tych ludzi zdziczałych. Szło bydło i trzoda. A wszystko wołało żałośnie ze skargą, że idą w zły los. Niesiono przeróżne uprząże i sprzęty dla swoich gospodarstw. Aż wreszcie zniszczenia spadł szal na tych ludzi. Rąbali, palili parkany i płoty. Ścinano sędziwe modrzewie w mym parku. A po nich i inne, by park zniszczyć całkiem do cna. Ten wichur, ślepego żywiołu zniszczenia trwał długo, dni parę się ciągnął. A ja na to patrzeć bezradnie musiałam z mych okien, czasami z tarasu. I nic przeciwdziałać nie mogłam, nic zrobić — dla ludzi oślepych przez chciwość i zemstę. Ze smutkiem i z żalem, co chwytął za gardło czasami tak mocno — patrzyłam zdaleka, jak trądem zatruta, — na zmrok duszy ludzkiej, na krzywdę tych zwierząt, tych drzew, co bez winy już żadnej padały zniszczone, na zniszczenie bezmyślne wszystkiego, co nie dało się zabrać, zrabować.

To nic jeszcze. Wciąż rosła pustka dokoła pałacu z dniem każdym. Swobodniej i dalej już patrzeć ja mogłam z dniem każdym w szerokie równiny, płaszczyzny bez końca ze wszystkich mych okien na stron cztery świata. Trochę ruin zostało mi jeszcze, których znieść się tak łatwo nie dało, by mogły mi czas jakiś świadczyć, że przecie tu więcej coś było niedawno tak jeszcze. A przytem nie byłam samotna. Zostały tu jeszcze kwietniki i trawy po parku, gdzie paść można było ich konie z rabunku. Nie byłam samotna. Bo śpiew pod oknami rozlegał się często, a w przerwach — gwizdanie i śmiech zły głośny — tak w dzień, jak i w nocy. Wśród ludzi

i zwierząt włóczyły się psy podwórzowe zgłodniałe be-
pańskie i smutnie patrzyły na ludzi i w okna, a w nocy
zawyły tak dziko, żałośnie — coraz.

Nasz Iwan przynosił nam wieści czasami ze świata,
uspokajał, że może się skończy jedynie rabunkiem bo
wojsko kozackie w pobliskim miasteczku wciąż stoi, że
wojska się boją, bo często przychodzi z pomocą tym
dworom, gdzie napad lud wiejski urządza i rzezie.
A wtedy i oni za napad ofiary składają z swej krwi,
z swego życia niekiedy.

Lecz wkrótce zabrano z miasteczka kozaków. A z
tem przyszła wolność dla ludu nareszcie. Zaczęły się
palić dokoła majątki wciąż liczniej. A razem z tem tak-
że i sądy okropne i dzikie nad Panem też rosły z dniem
każdym.

I u mnie krok naprzód zrobiono. Zaczęły się ucz-
ty, zabawy dla ludu z tych resztek, co jeszcze zostały.
Tuż pod oknami mojemu. A ja w swoim domu, jak w
wieńcu ogniowym, jak w wieńcu z pół — ludzi złożo-
nym — wraz z dziećmi samotna mieszkałam z dnia na
dzień. I teraz czekałam — już cudu jedynie lub śmierci.
Z napadem zwlekano, bo „krywdy” mej było zamało.
I uciec nie dano, bo straż pilnowała swych skarbów bez-
miernych w pałacu przez dnie i przez noce — na zmianę.

Zmęczona już byłam okropnie. Zbyt długo już
trwało napięcie nerwowe. Nie jadłam już prawie, nie
spiałam, bo czuwać nad dziećmi musiałam. I gdy ukła-
dałam te dzieci — tak samo zmęczone nad siły — do
snu, lecz zawsze gotowe do drogi a może — na śmierć, —
nie wiedziałam, czy zbudzą się jeszcze do życia.

Gdy spały te drogie dzieci, — gdziekolwiek, — zmęczone wysiłkiem czuwania i przeżyć nadmiarem, — na kanapce, w fotelu, — ja wtedy z rozpaczą w mem sercu patrzyłam na smutne i blade ich twarze i sama przed sobą stawałam na sąd. „To ja, wasza matka — mówiłam do siebie i do nich, — oddaję was tutaj na zgubę, — na śmierć. Ja wasze dusze niewinne bez skazy najmniejszej — wydaję na mękę — jak straszną — któż może odgadnąć. Ta burza szalona nie może przeminąć bez ofiar. A cud się nie stanie, bo przecie nie jestem od innych szczęśliwsza, ni lepsza”.

W rozpacznej rozterce szłam wtedy przed siebie przez szereg pokojów, szukając ratunku, pociechy i rady. A któż mi w tej pustce z jaką radą, pomocą mógł przyjść.

Noc jasna przez światło zimnego księżyca i ognie palone na dworze. Iść łatwo. Do kogo? Do starych portretów mych ojców i dziadów? Nie. Oni wszyscy z wyrzutem mi w twarz spoglądają. Oskarżają mnie wszyscy, że dzieci rodzone na zgubę wydała, bom zawierzyła ciemności, bom na pokusę przywiodła tych ludzi, bom tutaj została przez dumę i pychę, a przez to do zbrodni tych ludzi przywiodła i dzieci me własne — ja matka zabiła...

Uciekam przed temi strasznymi oczami i szeptem tym dziwnym, co idzie wprost na mnie ze ścian, — do innych pokojów. Lecz tam widzę krwią zlane ściany i meble... A dalej znów pokój obity całunem, po ścianach zaś snują się cienie... Nie. To amarant pokrywa te ściany i meble. A dalej — jedwabna biel krzesel, foteli... Na ścianach — to cienie świeczników się snują, — na ścia-

ny się kładą — dziwacznie i trwożnie. Nie mogę tu zostać. Bo taki niepokój i trwoga ze ścian, z wszystkich mebli bogato ozdobnych mahoniem i bronzem, z ciemnych kątów idzie na mnie, przytłacza i dusi, że ręce mi drżeć zaczynają i nogi już chwieją się moje. A sił mi potrzeba tak wiele w tej ciężkiej godzinie dla siebie, a przez to dla dzieci mych biednych.

Do pokoju swojego się kryję. Tam męża mojego jest portret — i matki. A przez nich ukojenie dla duszy znękaney nadejdzie. Stałam przed mężem odważnie i śmiało, bom przecie bez winy. I patrzę mu w oczy i czekam, co powie mi on. Twarz trupio - blada, zmartwiała z wielkiej troski i bólu, oczy ostre i zimne, jak stal, patrzą na mnie z wyrzutem i z gniewem. Martwe usta zsiniałe poruszają się ledwie, mówią do mnie tak twardo okropnie: „Bez potrzeby, pożytku — zginiecie tu wszyscy przez „hady”. Dlaczego zostałaś? POCO ty tu? Biada! Biada wam wszystkim!”.

„Boże”! — krzyknęłam rozpacznie. — „I ty... przeciw mnie w tej godzinie okropnej... Do kogoż mam iść opuszczona przez wszystkich, potępiona przez najbliższe mi dusze... Matko! — patrząc na nią, ja wołam ostatnim wysiłkiem mych sił. — Czy i Ty do mnie z gniewem potępieniem przemówisz? Czy i Ty do tej męki mej duszy, do ciężaru bez miary, co mi piersi przytłacza, do rozterki, goryczy, że wierzyłam tym ludziom, także gniew swój dorzucisz? Czytaj w myśli i w sercu mem wszystko, jakieś zawsze czytała. Czy tak wielka ma wina? Jam u rąk Twych me smutki i bóle przez lat tyle koila. Czyżbym dziś Twego serca już była niegodna?”. I przypa-

dam do rąk jej, jak kiedyś, — zapomniałam, że mówię ze zmarłą. — I za chwilę na oczach zalanych przez łzy czuję dłoń jej matczyną, miłosną, słysze głos jej wyraźny, jak mówi: „Chciałaś dobrze dla wszystkich. I dla dzieci twych także. Niema winy w twem sercu. Nie upadaj na duchu. Jak Bóg uzna za dobre, tak będzie. Proszę Boga — za ciebie i — wszystkich”.

Do stóp jej upadłam bezsilna, choć mi w sercu zabłysła nadzieja. I do Boga moje prośby gorące wznosiłam razem z Matki prośbami, żeby siły mi dodał potrzebnej do przetrwania — tej burzy, co nam spadnie na głowy już może niedługo. Opuściła mą duszę udręka i rozpacz zabójcza. Rezygnacja i smutek pozostał jedynie.

Powróciłam do śpiących mych dzieci. Spały mocno najdroższe ptaszyny. Sława Bohu! Niechaj śpią jak najdłużej, choć już świtać zaczyna. Za nich czuwa ich matka, jak nademną — tam — moja matka czuwała i dziś jeszcze czuwa tak samo. Przy nich drzemie nasz Iwan, zmordowany czuwaniem naprzemian wraz ze mną.

Siadłam w oknie na krześle i przymknęłam swe oczy. Tyle wspomnień z lat przeszłych. Jakby wczoraj to było.

Byłam małą dziewczynką tak szczęśliwą, jak rzadko — w domu ojca i matki. Już tak dawno ich niema tu z nami. Co się dzieje z mą siostrą? Czy już może zginęła i ona w tej burzy? Tyle pięknych lat życia z moim mężem przeżyłam. Nie tak dawno straciłam i jego. Jakże wiele radości i szczęścia przeżyłam, kiedy najpierw nam córka a potem znów syn na świat przyszedł. Tak się zdrowo chowali. Żadnych chorób nie przeszli poważ-

nych, co by życiu groziły. Czyżby dzisiaj spaść miało nieszczęście na te dusze niewinne dziecięce, a przez dzieci — i na mnie. — To nie może być przecie. Bóg nie chce ofiary tak ciężkiej.

Czy pamiętasz córeńko, jak płakałaś serdecznie nad skrzydełkiem złamanem tego szpaka biednego, co w ogrodzie go znalazł nasz Iwan poczciwy i do domu go przyniósł dla ciebie. Jak leczyłaś go długo starannie, aż wyzdrowiał nareszcie? I jak potem za tobą wszędzie chodził i skakał wesoło? A jak ciebie nie widział, jak on skrzeczał tęskliwie, jak za matką rodzoną. A zajączki maleńkie pamiętasz? Tyś je jedna karmiła. Z twojej ręki jedynie brały pokarm bez strachu, obawy. A sarenki młodziutkie, w naszym lesie złapane, nie lękały się ciebie jedynie, w ciebie tylko patrzyły z ufnością niezmierną, jak w swą siostrę rodzoną, bo oczy twe dobre do oczu sarenek przemawiać umiały. Nawet wilcze szczenięta, niczem psy oswojone, bawiły się z tobą, biegały za tobą przez pokój wesoło, do ręki twej szły, jak jagnięta. Niestety — tragicznie kończyła swe życie ta twoja zwierzęca rodzina. Ginęła zatruta, zduszona przypadkiem lub w las uciekała, gdy wreszcie dojrzała pod czujnym twem okiem i dobrą twą ręką siostrzaną. Wróciła czasami sarenka lub wilk z lasu na chwilę do ciebie, aż całkiem odeszły do swoich na zawsze. Gdyś była już starsza, chodziły za tobą, do ręki twej szły znów domowe zwierzęta i konie, i ptaki i pawie stubarwne lub białe. Bo ty z nimi mówić umiałaś ich mową. Radosny krzyk głośno rozlegał się zawsze, gdy ciebie ujrzały ich oczy. A dzisiaj — ich niema tak samo. I dzieci folwarczne chodziły

za tobą, jakbyś ty siostrą, matką najdroższą ich była. Bawiłaś się z niemi, karmiłaś sowicie, w chorobach leczyłaś, zmartwienia dziecięce kołowałaś. A dziś — one wszystkie podrosły, jak ty. Czy im także ty obcą się stałaś już dzisiaj? I one też poszły, jak tamte do lasu, do swoich, wyrzekły się siostry kochanej przez lata najlepsze, dziecięce? I wrogo w twe oczy dziś spojrzą i życiu twojemu zagrożą? Bo serce za wielkie ci biło w twych piersiach...

A ty, mój syneczku najdroższy, pamiętasz, jak kiedyś przed laty, gdy byłeś maleńki, siedzieliśmy razem tak często przy ogniu w kominku, co ciepłe swe blaski po całym pokoju rozsyłał i w kąty zaglądał ciekawie, a ty mnie pytałeś bez przerwy o ludzi, o drzewa, o kwiaty w ogrodzie, na polu, o wiatr i o deszcz, co za oknem czasami nam śpiewał:

— Mateńko. A co w piecu huczy i śpiewa?

— To wiatr, mój maleńki.

— A co to jest wiatr i co on tu robi?

— Ogrzewa się pewno w tym piecu.

— Dlaczego?

— Bo zimno na dworze. Więc przybiegł do pieca, by ogrzać się trochę.

— A jak się ogrzeje, to co?

— Polecą z powrotem na pola i łąki, poskaczą, potańczą. I żółte listeczki do góry podrzuci, nad ziemią pokręci. Gałązki na drzewie poruszy, za drzewko pokręci, potrząsie.

— A potem co jeszcze?

— A potem polecą znów dalej.

— A gdzie on poleci?

— Poleci do lasu. Tam drzewom zaśpiewa i zagra. Aż drzewa głowami do taktu; to wlewo, to wprawo mu kiwać rozpoczną. Aż cały las z wiatrem przedziwnie śpiewając — u-uu-u-uuu-u-uuu, — jak w tańcu, chwiać będzie gałęzie, pnie swoje.

— To tańczyć będą te drzewa, jak ludzie po ziemi?

— Nie, dziecko moje. Na miejscu stać będą. Korzenie nie puszczą.

— A wiatr nic nie powie, że stoją wciąż w ziemi, korzeni nie wyjmą?

— Nie powie im nic. Chyba z gniewem i złością przyleci czasami. To wtedy i drzewa z korzeniem poruszy.

— A potem do ziemi zpowrotem je wsadzi?

— Nie. Już nie wsadzi. I drzewa schną wtedy. Lecz rzadko tak bywa, by wiatr się rozgniewał na drzewa.

— A potem to co?

— A potem, gdy ciepło nadejdzie, wiatr wszędzie zagląda, ze wszystkim pogada serdecznie. Na pola poleci, pogładzi po główkach, po kłosach złocistych zbóż łany, aż chylą się nisko ku ziemi z radością. I znowu podniosą się w górę. I znowu pochylą. Bo wiatr główki głaszcze, że zdrowo i bujnie na kłosy wyrosły. Tak głaszcze, jak matuś syneczka swojego dziś ręką swą gładzi. I mówi — zdrów rośnij i duży i dobry dla wszystkich, chłopczyku.

— To ja chcę być wiatrem. A potem to co?

— Oczęta się kleją synkowi. I przez sen już py-

ta: a potem, to co? — Znów jutro mateńka opowie, co jeszcze. Dziś śpij już, dziecino.

— A innym znów razem się pyta mój mały, jak zboże na polu wyrasta i z czego?

Z ziarenka małego, mój mały.

— A jakto z ziarenka?

— Ziarenko do ziemi się wrzuca. Deszcz wodą pokropi coraz. A słońce przygrzeje, by ciepło mu było. I z ziemi wyrasta zielona malutka roślina. I rośnie wciąż większa i większa. Widziałeś na polu, jak najwpierw jest szaro. A potem zielone jest wszystko. A potem znów złoto przechodzi, jak kłosa dojrzają.

— A jakie ziarenka do ziemi się wrzuca?

— Ziarenko pszenicy, lub żyta lub owsa. I inne.

— To ja czekoladkę do ziemi dziś wsadzę. Czy prędko wyrośnie?

— Nie, dziecko moje. Nic nie wyrośnie.

— A z chleba?

— Też nic nie wyrośnie. Bo w chlebie już ziarno zmienione. Ażeby to ziarno wyrosło, to musi być całe i zdrowe. I takie rozrzuca się w polu.

— To ja chcę tak samo rozrzucać ziarenka po polu, by rosły.

— Dobrze, mój synku. Jak duży wyrośniesz, to będziesz to robił. A teraz ty sił jeszcze nie masz do tego.

Pamiętasz syneczku te nasze dziecinne rozmowy? Czy będziesz rozrzucał ziarenka po polu? Czy zmiecie cię burza dzisiejsza i wiatr, którym chciałeś ty być, gdyś dzieckiem maleńkiem był kiedyś. I dzisiaj tyś mały i

dziecko, choć większe o wiele, niż wtedy. Niech Bóg ma w opiece i ciebie i siostrę twą młodą. On jeden dziś nami kieruje i rządzi — i — wami i mną. Jedyną ostatnią pociechą, ucieczką nam został w tej chwili okropnej, najgorszej w mem życiu. Nie. Bo najgorsze dopiero się do nas zbliżało szybkimi krokami.

W dni kilka ta chwila okropna nadeszła, gdy przyszli tu obcy zdaleka z przywódcą tej bandy. Nasz Iwan wiadomość tę przyniósł od kogoś ze starszych, że obcy tu przyszli, że teraz naprawdę już źle. Z Iwanem i z dziećmi zamknęliśmy drzwi wszystkie w domu na dole. A potem i te co na piętrze od schodów, — jak tylko się dało najmocniej. I teraz gotowi do drogi, jeżeli się stanie cud jakiś, a nie, — to na śmierć już czekaliśmy wszyscy spokojnie. Bo i dzieci też były spokojne tym dziwnym spokojem młodości, co nie ma za sobą przejść ciężkich w życiu, porażek i strat niepowrotnych. A może ten spokój wypływał im z tego, że jeszcze zbyt mocno w to życie nie wrosli, a przez to o wiele im łatwiej jest z życiem tem zerwać, choć sami nie wiedzą nic o tem. I przez to być może — na walkę o życie lub śmierć jak na jakąś zabawę, czy inną sensację niezwykłą patrzyli spokojnie bez strachu i lęku. Broń mieli w ręku nabitą, gotową — młode swe serca bez skazy. Nic więcej nie trzeba im było. Lecz ja — dałam im jeszcze broń inną — modlitwę do Boga za siebie i za nich, co przyjąć tu niezadługo już mieli.

Noc była jasna i ciepła. Na niebie gwiazd tyle, — jak nigdy. Świeciły tak jasno i zbożnie, jak w święto.

A wszędzie dokoła pałacu tłum ludzi pijanych zdzi-

czałych się snuł z okrzykami, ze śpiewem i z życiem.

Ja z dziećmi, z Iwanem — na górze w salonie ogromnym czekałam, co da nam ta noc.

Na dole krzyk rośnie. Już słyszeć, jak do drzwi zamkniętych rzucają się tłumnie i groźnie.

Przed krzyżem klęczymy, co stoi na stole, i głośną modlitwą — serc naszych bicie tłumimy, co biją na trwogę. Bo idzie już na nas szal ludzi pijanych. żądzą krwi i morderstwa, jak zwierz dziki z lasu i puszczy — po łup.

Już drzwi pod naporem siekiery i ludzi pękają. Już słyszeć, jak pędzą po schodach na górę. Ja mówię: „Nie strzelać. Modlitwę odmawiać i czekać”.

Już światło pochodni czerwonych przedziera się do nas. Już wpadli szaleńcy o oczach krwią zaszłych, drapieżnych i pianą na ustach.

— Jest Pani, co krew naszą piła... Jest wiedźma... W postronki ich wiązać — wrzasnęli w triumfie zwycięskim nad Panią, nad dziećmi.

A my w dalszym ciągu klęczymy. Ja jedna wciąż głośno odmawiam modlitwę. Bo dzieci ucichły i oczy swe wpiły — w twarz matki, pytając — co teraz...

Stała na chwilę dzicz krwawa, szalona. Zacichła przed dziwnym widokiem, modlitwy urokiem przed śmiercią. A nawet niektórzy z nich także uklękli, by zmówić modlitwę za tę, co ma zginąć za chwilę, a co im nie była najgorszą.

W mych żyłach zagrała gorąca krew moja — i wstrętem — i dumą szlachetną. Podałam mej córce

krzyż w rękę, — bo tu go zostawić nie można... Bo będzie nam jeszcze i dalej obroną... I mówię: „Idziemy”.

Z spokojem śmiertelnym na twarzy i z głową do góry — tam w niebo wpatrzona — w tłum idę wraz z dziećmi...

I rękę podniosłam do góry. Krzyknęłam z nieznaną mi mocą:

„Precz z drogi, parobki i chamy”.

Już drogę mam wolną przed sobą, przed dziećmi...
Idziemy przez tłum zadziwiony niepewny.

Wtem pada w omdleniu ma córka na ziemię... Zbyt straszne to wszystko dla dziecka młodego. Nad siły jej było. Ja schylam się nad nią, by wziąć ją na rękę... Syn także, by pomoc swą nieść swojej matce i siostrze.

Schyloną swą Panią dzicz widzi — pijana krwi żądzą — i wódką...

„Pany utikajut. Ne baczysz, szczo bude?” — ktoś wrzasnął okropnie i dziko.

Rzucono się na nas z kijami, pięściami. Na głowę spadają nam ciosy bolesne... A potem związano nam ręce i nogi... Na ziemię rzucono z wściekłością...

„Przepadło — szepnęłam ja cicho do siebie. — To koniec już idzie lecz jaki? Czy może był ludzki wśród dziczy szalonej... O, dzieci me biedne... Ofiary tej złości nieludzkiej, choć ludzkiej...”

Przy każdym z nas stoi po kilku parobków na straży. Pilnować nas mają, by sądzić nas potem. I karę wymierzyć tak straszną, by krew stygnąć w żyłach ze zgrozy musiała... i tym też, co z życiem zdołali stąd

ujść, gdy wieść do nich dojdzie, — jak — „panów” karano.

W pałacu rabują i niszczą — i palą... Rwą okna, posadzki i drzwi. Na stos niosą stoły, fotele rzeźbione, konsole strzaskane... Stos rośnie — i płonie...

„Tu z ziemią zrównane być musi. Spalone, co podłe. Z rabunku, z krwi naszej to całe bogactwo. Więc zniszczyć, co z krzywdy, podłości wyrosło. By ślad nie pozostał, — ni popiół” — wołają ich głosy ochryple.

W pokojach w noc czarną czerwone płomienie się palą. I z ognia już patrzą tak dawno umarłych pradziadów obrazy i twarze szczerbiały zdziwione... Zwijają się w ogniu czerwonym ksiąg starych zwoje, — aż trzeszczą, — jak z gniewu, jak z bólu, — ich srebrne okucia i klamry... Dywany, makaty, materje i pasy jedwabne i złote — pod sufit sięgają. I tam wstydem płoną — czerwone...

Jak mszczą się, znęcają w swej złości, zawiści — nad wszystkim, co piękna ma trochę, — ci nowi panowie...

A obok w salonie panowie się bawią i radzą.

Nareszcie tu oni panami... O chwili tej długo w ukryciu marzyli tajemnie — przed sobą — przez lata tak długie i ciężkie niewoli... Dziś — oni tu rządzą. Dziś — oni panami. A pan — został gorzej, niż sługą...

I leje się wino z piwnicy — wraz z wódką zmieszane. W pokojach krzyk straszny, nieludzki. Bo pan nowy — wielki i straszny być musi. Bo już się tam biją ze sobą — o strzępy z rabunku.

Ktoś plunął mi w twarz. Kto plunąć mi śmiał?? To nowy mój pan, mój parobek wczorajszy... Tak wielkość mi swoją oznajmia. Tak karze mnie prostak z swą duszą prostaka — za swoją nienawiść.

Ktoś — w głowę mnie kopnął — swym butem zbrukany. To drugi parobek. I drugi mój pan. To drugi znów prostak — zwierzęciem się stał... I kąsa swą panią, jak pies. O, nie! pies nie kąsa, nie gryzie swej pani, co żywić go chciała, swem słowem serdecznem karmiła.

O, Boże! Ktoś porwał mą córkę i w ciemny kątek wlecze po ziemi... By znęcać się nad nią, — jak zwierzę...

O, nie! Nie pozwolę — na hańbę mej córki! Szał porwał mnie całą. Z pęt rękę wyrwałam. Krzyż ciężki, żelazy, co leżał tuż przy mnie na ziemi, chwyciłam. Rzuciłam go w kąt z całych sił. Niech ginie to zwierzę — od krzyża... Niech zginie me dziecko — tą śmiercią, — bo gorsze ją męki czekają...

Szał bólu, rozpaczy nad losem mej córki — na nogi mnie stawia... Jak zwierzę wśród puszczy ja ryczę... Ja matka... W kąt ciemny, by dziecko ratować przed — ludźmi, lub razem z nią ginać, — się rzucam, jak wściekła, do śmierci zraniona w swem sercu kobiety i matki...

Szał matki — pięść silna parobka ucisza — wprost w oczy... Chwytają mnie ręce drapieżne i dzikie parobków. A potem... przez okno — tam wdół — na kamienie — precz — rzuca z wściekłością. Już dzieci na górze — bez matki... Już same...

Ja oczy zmroczone od bólu i męki — otwieram na świat... Koło mnie znów dzika gromada... Jak wyje ta dzicz... Jak zimno, spokojnie wciąż świecą — te gwiazdy na niebie, — choć runął mój świat... O, Boże mój! Boże! Tak spokojnie Ty patrzysz na zbrodnię nieludzką.

Pod ścianą ktoś stoi... To dziecko... to córka jedyna najdroższa... A może to cień... Ubranie jej w strzępach... A oczy tak straszne... Czy widzi swą matkę na ziemi — tuż obok...

Za chwilę padł strzał...

O, Boże! Już córka upadła swej matce do nóg... Czy w duszy jej spokój już jest... Czy minął już ból w biednym sercu dziecięcym. Jak hojnie zapłacił swój dług za swe życie — ten parobek, com kiedyś niedawno wyrwała go śmierci... że zabił tym strzałem — mą córkę i mękę jej skończył...

I znowu za chwilę padł strzał...

Czy zginął znów — syn... Bo nie widzę go nigdzie... Co dzieje się z nim... Czy też inny dokonał się mord...

Tak gęsto te strzały padają... Krzyk grozy wciąż rośnie... Ucieka gdzieś tłum... Czy goni oiarę znów nową? A może się bije sam z sobą o łup... Nie. To jest walka. To polscy żołnierze zdaleka wezwani na pomoc... Lecz zbrodnia się stała. Czy jedna... Czy dwie...

Nie żyje córka... Syn gdzieś zginął... A nigdzie niema jego ciała... Czy może w gorsze ręce wpadł, niż w ręce śmierci zimnej...

I kopią grób pośpiesznie — dla córki jednej...

O, nie! Wy kopcie drugi także grób... Dla matki... Tak będzie lepiej... I dla wszystkich... Bo niczem teraz śmierć jest dla niej... po takiej zbrodni strasznej...

Zasłona czarna spadła mi na oczy. Gdzieś w przepaść lecę — tak daleko... Jak mi dobrze i spokojnie... Och, nie wracać już do życia wcale... Bóg wydał rozkaz inny...

Cicho... Cicho...

Ona milczy. Nic więcej powiedzieć nie trzeba.

Na ustach jej smutek śmiertelny się snuje. A oczy — bez łez już. Bo nie może być łez nigdy w oczach, gdzie serce zdrętwiało, rażone śmiertelnym piorunem. Do nieba podniosła swe oczy i duszę, strudzoną nad siły. I tam szuka siły, ratunku. I tam szuka córki, a może i syna, bo przepadł bez wieści — lat tyle...

Iwirski — u nóg siostry Krystyny. I płacze, jak dziecko przy matce — nad krzywdą tej matki i swoją.

— O, siostrzo Krystyno. To mnie Bóg wyznaczyć powinien te krzyże. Nie Tobie — przemawia po chwili. — Ja poniósłbym wszystkie — tak chętnie — za Ciebie. Mój ból taki mały — przy Tobie... Żelazem rozgrzanem do białą Tyś ranę bolesną w mem sercu przypiekła. Nie krwawi już serce, lecz smutku wielkiego jest pełne i płaczu — nad Tobą, Ty święta.

A ona — na głowę swą rękę mu kładzie — tak białą, tak czystą, jak śnieg i jak łza bólu wielkiego. Zdjąć z serca chce ciężar udręki... Błogosławić go będzie, jak syna, — na dalsze życiowe cierpienia...

— Mój synu — doń mówi — Ja nie mam już dzieci mych własnych. Bo nie wiem — przez tyle już lat, czy żyje mój syn, czy zginął i on. A w piersiach mi bije wciąż serce matczyne — tak mocno, gorąco... Więc wzięłam was wszystkich za dzieci... Z pomocą wam wszystkim chcę iść i spokój wam nieść, rozterki uciszać i bóle wam koić-bym chciała.

A człowiek tak często, jak dziecko bezmyślne, ból niesie sobie i innym. Nie słyszy, co obok się dzieje, bo w siebie jedynie wpatrzony. A często tak obok nas głośne wołanie rozpaczy, krzyk duszy drugiego człowieka.

I Tobie z pomocą iść chciałam. Twej duszy zranionej tak ciężko słyszałam ja krzyk. Dlatego mówiłam dziś z Tobą i mówię. I wiem, że zrozumiesz mój głos. Już struna boleśnie szarpnięta w twej duszy zadrgała — dla ludzi. A potem — najlepszą pociechę i radę, co dalej masz robić, przyniesie Ci czas.

I dalej mówiła:

Prześliczny stawia dziecko małe domek z kart. Tu — ściany, drzwi i okna. Tam — jedno, drugie, trzecie piętro. Prześlicznie wszystko malowane barwnie, jasno i tak różnie. Maleńki a tak wielki, dziwów pełen — domek z kart. I oko dziecka, dusza jego śmieje się, raduje — na widok domku z kart.

Lecz patrzeć tylko wolno nań. Nie wolno dotknąć, silniej dmuchnąć. Bo zaraz wszystko runie, w beładny gruz, w beładny chaos kart się zmieni. A czasem nawet przyjdzie wstrząs z pokoju sąsiedniego lub z ulicy i —

zniecka, choć domek jeszcze nieskończony, — runie wszystko wraz. I niema na to rady. Budować trzeba od początku. I patrzeć tylko wolno, tylko drzeć, by domek z kart nie runął niespodzianie.

Prześliczny domek z kart buduje wciąż przez życie całe długie — dziecko duże. A nawet, gdy dorośnie, buduje wciąż swój własny, piękny domek z kart. Powiększa go z dniem każdym, każdym nowym rokiem, upiększa i zbogaca ciężką pracą, szczęścia losem, czasem krzywdą braci swych...

Prześliczny domek własny ma już — dziecko duże. Prześlicznie wszystko tu dobrane. I takie wszystko ukochane, bo własną ręką tu wniesione... I oko, dusza — dziecka tego śmieje się, raduje — na widok domku z kart, — a więcej jeszcze tych, co tu mieszkają...

Lecz przyjdzie wstrząs zniecka. Skąd? Z nieznanych stron. Potrząśnie domkiem los, powali filar główny domu, a całkiem zniszczy drugi — ten najdroższy... Wiatr zerwie dach, a ogień resztę spali... I padnie wszystko w gruz. Zostanie garść popiołu... A w sercu mocno coś zaboli i z oka spłynie ciężka łza... Bo niema domku z kart i tych, co tam mieszkali...

Deszcz zmyje gruz, poniesie — hen, do morza... Popioły zmiecie wiatr, rozniesie w różne strony...

Był śliczny domek z kart... A teraz po nim ani śladu, pustka głucha... Została tylko wspomnień garść, po domku z życia kart, i tych, co w nim mieszkali...

Budować będzie dziecko duży nowy domek z życia kart...

Lecz idzie wieczór... Słońce chyli się ku ziemi...

Oto tyle, Panie Iwirski. Buduj Pan nowy domek z kart. I będziesz budował, bo tak życie każe. Szukaj jednak jeszcze czegoś trwalszego, poza domkiem z kart, byś nie został z niczem, — gdy Ci nowy domek runie — z życia kart...

**BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN**

SPIS RZECZY.

	Str.
1. Introdukcja	7 — 14
2. Śpij spokojnie, dziecińo	15 — 46
3. Co dalej?	47 — 102
4. Domek z kart	103 — 170



Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A.34276

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000171936

1818